MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 6 WARSZAWA, 6 LUTEGO 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

OBOWIĄZEK ANTYSEMITYZMU[1)]

TEMAT do tego artykułu nasunęła mi świeżo wydana po polsku książka—książka, której poznanie musi stać się obowiązkiem każdego Polaka. Myślę tutaj o „Izraelu" H. de Vries de Heekelingena[2)].

Sprawa żydowska została poruszona nie poraz pierwszy ale i na pewno nie poraz ostatni. Tak samo jak mój artykuł nie jest ani pierwszym ani ostatnim z serii tych, które uderzają — wciąż i wciąż—na alarm. Jeżeli jednak książce Heekelingena należy się specjalna uwaga to przede wszystkim dlatego, że jest to książka dająca nie tylko ocenę, ale i rozwiązanie. Ocenę prawdziwą a rozwiązanie realne.

Fakt nawrotu fali religijności jest dziś rzeczą niezaprzeczoną. Dodajmy tu — religijności nietylko formalnej, wyrażającej się w udziale w takich czy innych obrzędach i t. p. ale religijności prawdziwej, zmuszającej coraz to szersze masy do przeżywania swojej wiary. Katolicyzmu nie wystarczy wyznawać, trzeba go także przeżywać bo tylko wówczas stać się może — a stać się musi—punktem centralnym życia człowieka.

Również niezaprzeczonym faktem jest nacjonalizacja społeczeństw. I ktoby—opierając się na nieprzemyślanej głębiej obserwacji zjawisk, dokonujących się w Niemczech—chciał twierdzić, że te dwa prądy, pojawiając się jednocześnie, walczą ze sobą—muszą walczyć—myliłby się grubo. Wręcz przeciwnie. Nawrót do zasad stałych, nieulegających wpływowi przelotnych wichrów, budowa społeczeństw sharmonizowanych, opierających swą siłę na czynniku tradycji, języka i obyczajów a przeciwstawiających się niespójnej i różnorodnej konstrukcji liberalnej lub „zgleischachtowanej" formacji socjalistycznej, jest czynnikiem, który zawsze torować będzie drogę prawdziwej religijności. Wyodrębnienie i przejęcie się losami swego narodu, rozróżnienie jego zadań i celów jest jednoznaczne z przyjęciem Tego, który te zadania i cele narodom powierza. Boga nie odnajduje się poza społeczeństwem ale po przez społeczeństwo, społeczeństwo zaś pojmujemy i obejmujemy myślą poprzez własny naród. Uniwersalizm, który by się tej hierarchii wyrzekał jest utopią.

W społeczeństwie, które nurtują z coraz większą siłą te dwa prądy zjawić się musi zaraz zagadnienie żydowskie. Jego napięcie może być różne i zależeć może od wielu czynników — ale istnieć musi zawsze. Dużo się na to złożyło.

Pomijam tu argumenty historyczne (a znajdzie je czytelnik w cytowanej książce Heekelingena jak i w niestarzejącym się dziele W. Sombarta „Żydzi i życie gospodarcze") a konflikt chciałbym przedstawić na innej platformie. Chodzi mi mianowicie o zasadniczą antynomię między postawą żydostwa a elementami, z których się składa fundament państwa chrześcijańsko-narodowego.

Społeczeństwo żydowskie nie jest jednolite — zgoda. Zarysowują się w nim dwie zasadnicze i na pozór ze sobą sprzeczne tendencje: materializm i utopizm. Żyd stał się synonimem człowieka zdobywającego sobie majątek *per fas et nefas* i to raczej tą drugą drogą, gdyż jego celem jest nietylko zdobycie sobie majątku ale jednocześnie zupełne zniszczenie konkurenta. Z drugiej strony żyd stoi w pierwszych szeregach każdej rewolucji—każdej, mniejsza o hasła—byleby tylko niosła zagładę chwili bieżącej. Nie chodzi mu zresztą tylko o destrukcję. Rewolucjonista żydowski nosi pod powiekami zwid swego królestwa,

[1)] Filozof francuski Maritain ogłosił niedawno pracę p. t. „Niemożliwy antysemityzm", w której stara się dowieść, że stanowisko antysemityzmu jest sprzeczne ze stanowiskiem katolickim. W swoich poglądach społecznych M. myśli zawsze kategoriami liberalizmu ub. stulecia i dlatego wielu rzeczy oczywistych nie rozumie. W artykule staram się wykazać przede wszystkim, że antysemityzm nie tylko nie jest sprzeczny ze stanowiskiem katolickim ale — jak obecnie — jest nawet obowiązkiem każdego katolika.

[2)] H. de Vries de Heelingen. „Izrael, jego przeszłość i przyszłość". Wyd. św. Wojciecha. Poznań 1938 (?). Tłumaczenie J. M. Czerniewskiej, ze wstępem L. Czerniewskiego. Str. 220.

które zrealizuje—które wyobraża sobie, że zrealizuje—a które jest niczym innym jak tylko panowaniem żydów nad nie-żydami. Wielu ludzi uśmiecha się w tym miejscu: „Ten mały żydziak, którego ujęto z czerwoną płachtą w ręku miałby być kandydatem na władcę świata? Absurd! Judeofobia!”

A jednak życie potwierdza tę absurdalną na pozór hipotezę. I znów nie chcę się uciekać do cyfr i cytat, które każdy znajdzie w książce Heekelingena, Lecz czym wytłumaczyć sobie, to dziwne—niewątpliwie — zjawisko, że żyd, który zaczerpnął z Talmudu nienawiść i pogardę dla „goja“ jednocześnie wszelkimi siłami broni się i nie pozwala się wyprzeć ze społeczeństwa pogardzanych „gojów”? Miłość? O to chyba żydów podejrzewać nie można! Wyrzeczenie się Talmudu? Niestety — o tym w tej chwili nie wolno marzyć.

Talmud przeżarł duszę współczesnego żydostwa i to nie dla tego, aby był złym w każdym swoim wierszu, ale dlatego, że jest zbiorem sprzeczności i szkołą obłudy. Książka, która na tej samej stronie nakazuje kochać i nienawidzić, litować się i pogardzać, być uczciwym i oszukiwać, samą swoją konstrukcją truje i zakaża. Żyd francuski Mandel stara się wytłumaczyć swoich współrodaków: chcecie dowieść, że ich zatruł Talmud, ale przecież w Talmudzie mamy nietylko wezwania do nienawiści... Tym gorzej! Księga, która by wzywała tylko do nienawiści, byłaby dziełem do tego stopnia aspołecznym, że musiałaby natychmiast zniknąć. Człowiek może bardzo nisko upaść ale zawsze potrafi jeszcze kogoś kochać. Natomiast książka, która uczy jednocześnie miłości i nienawiści, popycha grupę do walki ze światem. Czyni z żydów wrogów całego świata.

Więc może naprawdę nie należy przywiązywać tyle wagi do Talmudu? Może należy uwierzyć zapewnieniom rabbiego Jechiela, że duch Talmudu powoli zanika, szkoły talmudyczne zamykają się w Europie wschodniej a żyd współczesny nie umie już dziś nawet czytać po hebrajsku? Otóż to jest nieprawda. Talmud nadal jest wykładany. Język hebrajski odrodził się dzięki pracom Eliezera ben Jehudy, Bialika, Scheuera, Czernikowskiego. A zresztą gdyby nawet tak było, jak ów rabin twierdzi, to--czyż to „porzucenie“ zmieniło—choćby o jotę—psychikę żydów? Czyż Faryzeusze współcześni Chrystusowi — owi twórcy i nosiciele prawd talmudycznych—różnią się czymkolwiek od współczesnych rewolucjonistów? Polecam tu wczytanie się w doskonałe dzieło ks. arcb. Teodorowicza „Herold Chrystusa” [3]) które z całą stanowczością wykazuje, iż owe stronnictwo „obrońców ludu” rewolucyjne i demagogiczne a jednocześnie fałszywe, posługujące się ludem nie dla jego, ale dla swego własnego dobra, przywiązane do form a rozgrzeszające się zawsze co do treści — było prototypem dzisiejszego socjalizmu.

Talmud więc obowiązuje nadal zarówno bezpośrednio jak też przetrasponowany w marksizm. A jeżeli obowiązuje i wzywa żydów by wciąż pamiętali o rozdziale, który istnieje między nimi a światem nie-żydowskim—to dlaczego—jeżeli nie z myślą o zawładnięciu społeczeństwem „gojów”, żyd siedzi w nim jak rodzynek w cieście i nie chce się dać wyjąć?

Typ rewolucjonisty—zgoda. Ale typ handlarza bez uczciwości i sumienia? Wszak oni nawet między sobą się gryzą. Nawet Hitlera ta anormalność przeciwna naturze napoiła wstrętem [4]).

Bez wątpienia jedna amoralność pociąga inną. Ale te wewnętrzne żydowskie spory cichną, gdy wchodzi w grę „goj”. Zniszczyć „goja” — to hasło zawsze połączy skłóconych. I tu znikają nawet „klasowe” względy: bogaty żyd — wyzyskiwacz połączy się z nędzarzem—chałupnikiem, pełni obaj tych samych pragnień.

Oba typy żydów dążą w rezultacie do tych samych celów—do zdobycia świata. Żyd-rewolucjonista pragnie to osiągnąć poprzez destrukcję, żyd-spekulant zbliża się ku swoim celom drogą podziemnej kopaniny. Lecz i jeden i drugi jest skończonym moterialistą, jeden i drugi marzy o ustroju, któryby mu dozwolił ciągnąć z nie-żydów nieograniczone zyski. I dlatego miliarderzy żydowscy—nawet nie wiele się krępując — wspierali żydów-rewolucjonistów swymi dolarami czy frankami.

Swego czasu Ford odkrył ich politykę, sfinansowawszy słynne już dziś „Studium nad kwestią żydowską”. Pod presją międzynarodówek żydowskich fanatyk zmechanizowanej pracy wycofał książkę, ale nie zapomniał dodać w swym „Moje życie i moje dzieło”:

„Nasza praca nie twierdzi, że jest ostatnim słowem o żydach w Ameryce, opisuje tylko namacalnie piętno, jakie obecnie wycisnęli na naszym kraju. Jeżeli ten wpływ się zmieni, sprawozdanie też zmienić się może. W tej chwili całe zagadnienie spoczywa wyłącznie w rękach żydów. Jeżeli są naprawdę tacy mądrzy jak sami twierdzą, pracować będą nad tym, by żydów zrobić Amerykanami a nie Amerykę żydowską. Duch Stanów Zjednoczonych jest chrześcijański w najszerszym tego słowa znaczeniu i przeznaczeniem jego jest pozostać chrześcijańskim...”

Było to tylko grzeczne i pełne delikatności zwrócenie uwagi na to, że żydzi przerabiając Amerykę „na swoje kopyto”, nie liczą się zupełnie z jej chrześcijańskim charakterem. Co do tego ostatniego mamy wprawdzie wątpliwość, teza jednak Forda podtrzymuje stanowisko o antynomicznym stosunku żydostwa do państwa chrześcijańskiego.

Podkreślić to trzeba, gdyż nieporozumienia po dziś dzień się zdarzają. Mam tu na myśli świeżo wydaną książkę — o której zresztą na innym miejscu szerzej się rozpisałem [5]) — wydaną przez katolickie francuskie Towarzystwo wydawnicze „*Presences*” [6]). Jest to praca zbiorowa, do udziału w której zaproszeni zostali katolicy, protestanci i żydzi, i która miała stać się gwoździem w trumnę katolickiego antysemityzmu.

Książka jest jednym wielkim skandalem, głównie dzięki żydom, którzy przeholowali, bo chcąc jednocześnie przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie i obronić siebie i przypiąć łatkę krajom,

---

[3]) Ks. arcb. J. Teodorowicz. „Herold Chrystusa”. Wyd. św. Wojciecha. Poznań 1937 (?)

[4]) „*Mein Kampf*”.

[5]) „Prosto z mostu” nr 1/38.

[6]) „*Les Juifs*“, praca zbiorowa. Wyd. „*Presences*”. Paris 1937.

w którym żydom zaczyna być ciepło — okrasili książkę nad wyraz niesmacznymi — zresztą w ich stylu—wycieczkami antypolskimi.

Nie chcę tu wracać do książki, którą — miejmy nadzieję—zajmą się jakieś kompetentne czynniki. Chodzi mi o postawę katolików, którzy, oburzeni krzywdą Izraela w Niemczech, bronią go w ten właśnie sposób. Katolik jest zawsze obowiązany protestować gdy innego człowieka krzywdzą, ale inną jest rzeczą słuszny protest a zupełnie inną humorystyczna aż miejscami nieznajomość sprawy. W tej samej książce, gdzie jeden z rozsądniejszych pisarzy przyznaje, że żyd był zawsze czynnikiem rozkładu państwa chrześcijańskiego, inny pisarz stawia z trzaskiem tezę: „albo antysemityzm albo katolicyzm”.

Więc co? Pozwolić aby żydzi weszli nam na głowę i robili w naszym kraju co im się podoba? Sytuacja być może pożądana dla takich pseudokatolików ale nie dla ludzi, którzy mają świadomość ciążącej na każdym katoliku odpowiedzialności za swoich współbraci. Przede wszystkim najbliższych—zgodnie z *ordo charitatis*.

Otóż dobrze jest tu także przypomnieć o liście św. Tomasza z Akwinu do Adelajdy księżnej Brabantu właśnie w sprawie żydów. Księżna prosiła świętego o wskazówki przy postępowaniu z żydami, ten zaś jej wyczerpująco na zadane pytania odpowiedział. Pytała się księżna, czy należy żydów obciążać specjalnymi podatkami a święty odrzekł „nie” — „z obawy by nie bluźniono Imieniowi Pańskiemu”. Natomiast nietylko wolno ale i trzeba odbierać im „co ukradli drugim przez lichwę” i zwracać skrzywdzonym. Wprawdzie w ten sposób władca traci, gdyż musi oddać pobrany od żyda podatek, lecz winno to być dla niego upomnieniem, iż nie wolno mu tolerować niepracujących prawdziwie lecz bogacących się lichwą poddanych. „Tak samo—mówi autor Summy—monarchowie byliby z własnej winy oszukiwani na swych dochodach, gdyby pozwalali swoim poddanym bogacić się rozbójnictwem albo kradzieżą”.

Jedno z pytań brzmiało: „Czy dobrze jest, aby żydzi zmuszani byli nosić odznakę, odróżniającą ich od chrześcijan?” I na to padła odpowiedź:

„Według postanowienia Konsylium powszechnego żydzi obojej płci w każdym kraju chrześcijańskim i po w s z y s t k i e c z a s y, powinni się wyróżniać od innych pewną częścią ubrania. Tak samo nakazuje im i c h w ł a s n e p r a w o, a mianowicie: nosić frendzle na czterech rogach płaszczów, aby się odróżniali od innych narodów”.

Zwięzła ale jasna odpowiedź świętego mówi bardzo wiele. Genialny filozof rozumiał aż nadto dobrze, jakim niebezpieczeństwem dla państwa chrześcijańskiego są żydzi i dla tego uważał, że separacja musi istnieć, tym bardziej, iż rozpoczęli ją sami żydzi, a jeżeli czasami chcą się swych poczynań wyprzeć, to tylko dla tego, aby łatwiej wcisnąć się do społeczności chrześcijańskiej. Separacja musi istnieć, ponieważ żydzi nie tylko chcą nas opanować materialnie, ale równocześnie dążą do zwyciężenia nas moralnie, nietylko wydzierają nam podstawy bytu, lecz także, z całą perfidią, zatruwają nasze wierzenia i ideały.

Znakomity pisarz włoski Papini wkłada w usta jednego ze swych bohaterów, żyda, takie oto słowa:

„Dzisiejsza Europa jest po większej części pod wpływem, a jeżeli pan chce pod czarem, tych wielkich żydów (Heinego, Marxa, Lombroso, Nordau, Freuda, Weinigera, Bergsona, Reinacha, Einsteina, Meyersona), o których wspomniałem. Urodzeni pośród odmiennych narodów, oddani innym poszukiwaniom, wszyscy oni, Niemcy czy Francuzi, Włosi czy Polacy, poeci czy matematycy, antropologowie czy filozofowie mają wspólny charakter, wspólny cel: podawać w wątpliwość prawa uznane, poniżać to, co jest na piedestale, kalać to, co zdaje się czystym, wywołać chwiejbę tego, co wydaje się solidnym, kamienować to, co jest w poszanowaniu” (Gog.).

Żyd, który taką akcję prowadzi, nie może zmieścić się w ramach społeczeństwa, które żywi jakiekolwiek ideały, które w pewne rzeczy wierzy, i które pewne prawdy uznaje za niewzruszalne. Musi uznać konieczność separacji. I każdy katolik, który rozumie czym grozi zbliżenie z żydami, nie może cofać się i oceniać z wyżyn swej „humanitarności”—wskazówek świętego. A i św. Paweł powiada: „Bo wielu jest krnąbrnych, gadatliwych i zwodzicieli, zwłaszcza pomiędzy tymi, którzy są z obrzezania, którym trzeba gęby zatykać...”

Czyż więc niema wyjścia dla żydów? Czyż pozostało im tylko *ghetto* i separacja? Wyrok straszny, budzący trwogę.

Jest wyjście. Nawet nie takie trudne, ale wyjście, o którym zaślepione żydostwo wiedzieć nie chce: stworzenie państwa żydowskiego. Naród żydowski istnieje — sami żydzi się do tego przyznają. (W „*Warschauer Zeitung*” z listopada 1916 r.) mamy takie zdanie: „Żądamy, aby nowa Polska uznała prawa żydów jako mniejszości narodowej. Musimy to jasno wypowiedzieć w obecnym momencie poważnym, że nie jesteśmy sektą religijną, ani Polakami wyznania mojżeszowego, lecz jesteśmy — i zawsze chcemy być — żydami“. Ale bytuje jako pasorzyt na ciele innych narodów. Stworzyć im samodzielną egzystencję t. zn. pchnąć ich w normalne koryto rozwoju, sprowadzić do właściwej roli: zorganizowanego w państwo narodu, realizującego swoje zadania i cele drogą uczciwą i otwartą. To jest wyjście — zresztą to nie tylko wyjście ale i jedyna droga, która pozwoliłaby żydom stanąć we wspólnym szeregu wszystkich narodów.

Lecz żydzi tego nie chcą. Walka — często ciężka i krwawa — o realizację idei wielkiego narodu, nie uśmiecha się im. Oni wolą burzyć i rabować podstępem. Im nie wystarcza cel—stworzenie wielkiego narodu żydowskiego—oni chcą osiągnąć—jak w handlu—zwycięstwo żydostwa z równoczesną zagładą wszystkich innych narodów. To już nie nacjonalizm ale nacjoegoizm, nacjocentryzm, walka o panowanie nad światem, szkodliwa mania, którą należy unieszkodliwić, jak się unieszkodliwia szaleńca-mordercę.

I dlatego jedyną drogą jest separacja, która może targnie sumieniem tego zbłąkanego a przecież niewątpliwie nieszczęśliwego narodu i uświadomi go o podstawach właściwej egzystencji.

Lublin. JAN DOBRACZYŃSKI

SZTUCZNA MGŁA

Zdarza się, że uczciwy, mądry i utalentowany publicysta polityczny nie może wogóle, względnie nie może dostatecznie szybko trafić do przekonania szerokiego ogółu, mimo, że porusza temat, będący na ustach wszystkich, w sposób, nie nasuwający żadnych zastrzeżeń, dotyczących treści i formy jego wystąpienia; że napotyka na jakiś, w pierwszej chwili niewytłumaczalny bierny opór ze strony ogółu czytelników, względnie słuchaczy.

Powodów tego zjawiska może być wiele. Więc naprzykład powolność myślenia, krótka pamięć i zmienność nastrojów tak zwanej świadomości, lub duszy zbiorowej. Ale o wiele ważniejszą rzeczą jest nieścisłe zdefiniowanie i niedostateczne rozgraniczenie pojęć, oraz tak zwana gra barw uczuciowych, właściwych pojęciom i wyrazom, irradiacja i przesuwanie się tych barw na inne pojęcia i terminy, pozostające z danemi w stosunku sąsiedztwa lokalnego lub czasowego, podobieństwa brzmienia, lub pokrewieństwa treści znaczeniowej lub emocjonalnej.

Wynikiem pomieszania pojęć i owocem niewłaściwych skojarzeń, pojęciowo, dźwiękowo-uczuciowych są pewne mniej, lub więcej trwałe nieporozumienia, uprzedzenia i przesądy natury zarówno pojęciowej, jak i uczuciowej, utrudniające szybkie zorientowanie się w istocie omawianych spraw oraz bezstronne do nich podejście, umożliwiające dezorientowanie opinii publicznej w kwestjach zdawałoby się zupełnie prostych i jasnych, zaprzątanie uwagi społeczeństwa sprawami bez znaczenia, — luźno zaledwie i niemal marginesowo związanemi z istotą rzeczy, — pozwalające na długotrwałe nieraz i bezkarne uprawianie wrogiej propagandy i dywersji ideologicznej. I dlatego nieporządek w świecie naszych pojęć i uczuć tak leży na sercu naszym wrogom i w znacznej mierze jest celem i owocem ich usiłowań i zabiegów.

Dla zilustrowania wywodów powyższych pozwolę sobie przytoczyć parę przykładów, — aktualnych kwiatków z naszej niwy publicystycznej.

I

Od pewnego czasu na łamach stołecznych pism politycznych toczy się historyczno-teologiczna dyskusja na temat „Czy Chrystus był Żydem?" Śledząc wymianę zdań w tej kwestii, dochodzi się do przekonania, że w całej tej sprawie tkwi jakieś nieporozumienie, jeśli nie świadome usiłowanie pomieszania pojęć. Bo, po pierwsze, czysto historycznie rzecz biorąc, w dzisiejszym stanie nauki zagadnienie rasy Chrystusa-Człowieka nie da się wyświetlić; można naturalnie snuć na ten temat rozmaite przypuszczenia, lecz, jak dotychczas, żadne z nich nie może rościć pretensji do miana prawdy historycznej; poprostu brak dostatecznych dowodów na poparcie takiej, czy innej hipotezy.

Z drugiej strony nie ma w tej materii żadnego dogmatycznego orzeczenia Kościoła Katolickiego. Następnie, nawet gdyby z punktu widzenia historycznego, lub teologiczno-dogmatycznego, kwestia żydowskości Chrystusa była rozstrzygnięta, nie miało by to żadnego znaczenia politycznego w tym sensie, jaki temu zagadnieniu czasami się przypisuje; to znaczy nie mogło by to być żadnym argumentem na rzecz współczesnego filo — lub antysemityzmu politycznego i kulturalnego. Bo jeśli Chrystus był Żydem, to stąd bynajmniej nie wynika, by należało odnosić się bezkrytycznie do jego dalszych krewnych, to znaczy Żydów dzisiejszych, by darzyć ich nadmiernym zaufaniem, by ich interes narodowy przenosić nad dobro innych narodów. Jeśli zaś Chrystus nie był Żydem, to znów nie płyną stąd żadne wnioski przeciwko żydowstwu.

Reasumując powyższe, stwierdzić należy, że sprawa rasy Chrystusa-Człowieka jest sprawą czysto-teologiczną, daleką od naukowego rozstrzygnięcia, i nie posiada żadnego znaczenia politycznego. Rozstrząsanie zaś tej kwestii na łamach pism politycznych i nadawanie jej przez to charakteru, którego nie posiada, nie jest rzeczą, ani uzasadnioną, ani użyteczną, lecz jest wynikiem nieporozumienia, mogącego spowodować niepotrzebne wątpliwości. Wydaje się też, że niefortunnie postąpili ci, którzy podjęli rękawicę, rzuconą przez stojącego na usługach propagandy filosemickiej prof. Michałowicza.

II

Druga sprawa jest o wiele ważniejsza. W pewnego odłamu prasie, w broszurach i książkach, a nawet w półoficjalnych oświadczeniach miarodajnych sfer katolickich często napotyka się termin: rasizm pogański, a nie dodaje się przy tym żadnych komentarzy, ściślej określających powyższe pojęcie, tak, że nie wiadomo wprost, o co tu właściwie chodzi: czy o rasizm w ogóle, że mianowicie wszelki rasizm jest pogański, czy o pewną specyficzną odmianę rasizmu, zwaną pogańską? A pozatem jak należy rozumieć słowa: „rasizm" i „pogański"? Bo przecież jest rzeczą jasną, że przeciwko czemuś się walczy, przeciwko czemuś mobilizuje się opinię publiczną, coś umieszcza się na indeksie; trzeba zatem wiedzieć ściśle i dokładnie, o co właściwie chodzi?

Że nie są to jedynie scholastyczne wątpliwości, wynikające z przewrażliwienia na punkcie ścisłości definicji, świadczy to, że pod obstrzałem jest „rasa", pojęcie, formułujące pewną rzeczywistość, leżącą u podstaw każdego, nawet najbardziej umiarkowanego nacjonalizmu, pojęcie, które w zastosowaniu do świata zwierzęcego, a nawet i ludzkiego, nie budziło w nikim żadnej wątpliwości, przeciwnie, było uważane za poważną zdobycz wiedzy, szczególnie w systematyce i w nauce o hodowli. Tymczasem, gdy zaczęto stosować kategorię rasy do ludzi, należących do rasy wybranej *in specie*, powstał dookoła rasy na całym świecie huczek, jakich mało, i kierunek myśli naukowej i społeczno-politycznej, który poważnie potraktował zagadnienie właściwości i selekcji odmian i typów przedstawicieli gatunku, zwanego *animal rationale*, znalazł się nagle na cenzurowanym: a że rasizm jest dzieckiem mechaniczno-materialistycznego pojmowania człowieka, że postponuje możliwości ducha, że ogranicza, a nawet kwestionuje, jeśli nie zaprzecza wolności woli... i t. d., i t. d., jednym słowem stawia się rasizmowi zarzuty, do których rasizm, w każdym razie nie każdy rasizm, przyznawać się potrzebuje.

Bo wiadomo wszak, że człowiek jest zwierzęciem; że jego życie fizjologiczne jest niesłychanie podobne do życia innych zwierząt, że jego właściwości, zalety i wady fizyczne, oraz jego stany bio-fizjologiczne mają olbrzymi, a statystycznie rzecz biorąc, zdecydowany wpływ na jego życie psychiczne i moralne, że nowoczesne kierunki wychowawcze, a nawet i katolicka nauka o moralności, liczy się z istnieniem predyspozycyj, co przecież nie jest jednoznaczne z hołdowaniem determinizmowi. I nic dziwnego zatem, że w epoce genów zaczęto różniczkować i klasyfikować właściwości ciała i wpływ ich na duszę, że stwierdzono w organiźmie psychofizycznym istnienie czynników mniej lub więcej stałych, decydujących w dużej mierze o wyglądzie i zachowaniu się jednostek i mas ludzkich. Później przyszła nauka o higienie rasy. Wreszcie gdzieniegdzie zainteresowało się tymi sprawami państwo, uważając, że w trosce o dobroć materiału ludzkiego nie wystarczają dotychczas stosowane półśrodki higieny osobistej i zbiorowej (publicznej), że trzeba sięgnąć głębiej, aż do korzeni fizycznego jestestwa człowieka, i na gruncie naukowo ustalonych zasad stworzyć racjonalnie zorganizowany system pielęgnacji człowieka na podobieństwo hodowli roślin i zwierząt, licząc się oczywiście z dwoistością natury ludzkiej, z istnieniem duchowych pierwiastków i pewną nieokreślonością i nieobliczalnością, będącą konsekwencją wolności woli, oraz z koniecznością odwoływania się do wyższych, poza doczesnych sankcyj, a więc z potrzebą współpracy z Kościołem.

I nic innego, jak instynktowne wyczucie, lub wyraźna świadomość słuszności niektórych przynajmniej tez nauki o rasie sprawia, że istnieją pewne, w sposób niezbity stwierdzić się dające sympatie i antypatie natury somatyczno-psychicznej, różne *appeal'e etc.*, że często nie bez racji sądzi się o człowieku na podstawie jego fizycznego, zewnętrznego wyglądu, — istnieje nawet nauka o somatycznych typach ludzkich (Kretschmera), i że roztropny kandydat na małżonka stara się jaknajwięcej wiedzieć, z jakiego gniazda i czy z dobrej rasy wywodzi się jego przyszła towarzyszka życia.

III

Innym charakterystycznym przykładem są perypetie, jakie przechodzi kwestia „naśladownictwa obcych wzorów".

Dotychczas bowiem było wiadome każdemu, i uczonemu badaczowi dziejów kultury i pedagogowi i kaznodziei i zwykłemu szaremu człowiekowi, że bez naśladownictwa nie ma kultury, ani postępu; że przez naśladownictwo małe dziecię uczy się mowy i elementarnej wiedzy o życiu; że cały system kształcenia i wychowania młodzieży oparty jest w znacznej mierze na zasadzie naśladownictwa; że to zmysł ekonomii i naśladownictwa powoduje takie rzeczy, jak wymiana myśli w skali, że tak powiem, kameralnej *en deux* i w skali międzynarodowej, że wreszcie bez naśladownictwa nie do pomyślenia jest proces przekazywania dorobku kulturalnego z pokolenia na pokolenie, dziedziczenie kultury i jej pomnażanie. I tak długo, dopóki nie wynaleziono sztuki pisania, a więc dopóki możliwości naśladowania obcych wzorów były nader ograniczone, do tego czasu nie można było ani nawet marzyć choćby o takim rozkwicie i osiągnięciach nauki, jakich świadkami jesteśmy dzisiaj. Wiele jeszcze można powiedzieć w obronie i na chwałę naśladownictwa, a będą to niemal wyłącznie truizmy, tak dalece sprawa jest jasna. Tymczasem w prasie naszej naśladownictwo obcych wzorów — to *nomen odiosum*. Z naśladownictwa zrobiono ciężki zarzut, którym szafuje się z lekkim sercem i często z niezupełnie nawet szczerym przekonaniem, że w pewnych dziedzinach życia ludzkiego, a w polityce przedewszystkim, naśladownictwo wyklucza samodzielność myślenia i niezależność działania. A więc np. naśladownictwo w zakresie umiejętności budowania czołgów, konstrukcji samolotów, produkcji gazów trujących, albo znowu naśladownictwo obcych wzorów, gdy chodzi o desenie tkanin i kroju sukien, czyli hołdowanie t. zw. modzie, to jeszcze ujdzie.

Ale korzystać z obcych doświadczeń w dziedzinie budownictwa państwowego, w szczególności w kwestii traktowania pewnej mniejszości narodowej, to dyskwalifikujący polityka i męża stanu brak samodzielności, to postępek, stawiający pod znakiem zapytania jego uczciwość polityczną, to czyn, uprawniający do insynuowania służebnej a nie bezinteresownej uległości wobec obcych agentur!

Takie właśnie opinie wsącza się kropla po kropli w naszą świadomość zbiorową i, należy przyznać, nie bez powodzenia. Pomału, pomalutku, zaczynają ludzie wstydzić się swego niby upośledzenia, to znaczy naturalnej skłonności do wykorzystywania cudzych szczęśliwych pomysłów i odkryć, i co krok gęsto się tłumaczą i dowodzą, że są w każdym calu samodzielni; gotowi są nawet na nowo proch wymyśleć i na nowo Amerykę odkryć, byle tylko uniknąć hańbiącego zarzutu naśladownictwa obcych wzorów. A przecież powinno być całkiem inaczej. Pod pręgierz i do odpowiedzialności powinni być pociągani raczej ci, co w służbie społeczeństwa nie kroczą najprostszą i najekonomiczniejszą drogą, mądre zaś, umiejętne naśladownictwo obcych wzorów powinno być tytułem do uznania i nagrody.

IV

A oto jeszcze jeden *casus*, najświeższej daty, bardzo charakterystyczny. Mam tu na myśli tak zwany „nacjonalizm międzynarodowy" czyli, jak ktoś dowcipnie się wyraził, — „inter-nacjonalizm".

Wydawałoby się, że to żart jakiś, zabawna a niewinna gra słów, i że dla kawału chce się nadać cechy egzystencjalne rzeczy, która jako *contradictio in adjecto* naprawdę istnieć nie może; bo przecież nacjonalizm niejako *ex definitione* nie może być międzynarodowym, jest bowiem świadomym wyrazem instynktownych dążeń grupy ludzkiej, obdarzonej przez przyrodę i historię cechami odrębności i swoistości, — do zachowania swego istnienia i swej indywidualnośc i zbiorowej w walce z innemi analogicznemi grupami ludzkiemi. Okazuje się niestety, że międzynarodowy nacjonalizm jednak istnieje, że rośnie i potężnieje, że staje się nawet groźnym i nabiera cech powszechnego niebezpieczeństwa. — To żart, a jednak jest w nim coś naserio; to mianowicie, że o ile ludzie na czas się nie połapią, termin „międzynarodowy nacjonalizm" może stać się wkrótce upiorem na-

szej publicystyki, który będzie miał za zadanie odstraszanie narodowo czujących a niedostatecznie myślących jednostek od świadomej zorganizowanej akcji narodowej, ponadto zaś będzie utrudniał nawiązanie międzynarodowej współpracy w walce ze wspólnym wrogiem o unarodowienie życia gospodarczego i społeczno-politycznego. Taką jest bowiem intencja tych, którzy puszczają w obieg nową fałszywą monetę ideologiczną, licząc na bezkrytycyzm przeciętnego konsumenta artykułów prasowych i opierając swe w tym względzie nadzieje na tej okoliczności, że barwa uczuciowa, właściwa wyrazowi określającemu, często udziela się z czasem słowu lub pojęciu określanemu, że zatem powszechna prawie rezerwa i niechęć do wszelkiej międzynarodowości skieruje się także przeciw nacjonalizmowi, ozdobionemu przydawką „międzynarodowy".

WINCENTY DUTKOWSKI

ZASADY ODBUDOWY PAŃSTWA W PORTUGALII

W NIEMCZECH i we Włoszech wielkie organizacje, masy ludzkie wypowiedziały się co do zaprowadzenia nowych *régime*'ów, biorąc udział w wyborach i w przewrotach. Zupełnie inaczej stało się w Portugalii, gdzie uzyskał możność realizowania nowego ustroju człowiek powołany przez takiego przedstawiciela *bracchium militare*, który w klasyczny sposób, upodabniający dziś niektóre kraje Europy do państw środkowo i południowo amerykańskich, zagarnął władzę. Generał (obecnie marszałek) Carmona zamieniwszy anarchiczną, parlamentarną, demoliberalną republikę na republikę autorytatywną, nie miał przed sobą żadnego obrazu nowego państwa i profesora Salazara powołał nie w celu urzeczywistnienia głębokich koncepcyj, lecz poprostu w celu uporządkowania administracji i finansów. Tymczasem okazało się, że Salazar ma określony światopogląd, że ma określony projekt ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego i dzisiaj z wielką dozą pewności twierdzić można, że ten człowiek, jeden człowiek, którego ani masy ani agitacja do władzy nie wezwały, buduje ustrój najtrwalszy może ze wszystkich tak zw. „nowych" ustrojów.

W istocie rzeczy *régime* wprowadzony przez Salazara nie jest „nowym" ustrojem, jego autor poprostu przystosował zasady ustrojowe *ancien régime*'u do naszych czasów; pod tym względem pokrewny jest ustrój portugalski z faszystowskim, ale jest głębszy i jednocześnie, że tak powiemy, bardziej wolnościowy".

Salazar w książce wydanej po francusku p. t. „*Comment on relève un Etat*" postarał się przedstawić w sposób możliwie obiektywny wytyczne swoich przełomowych reform. Podstawą reform Salazara jest światopogląd spirytualistyczny. Są dogmaty niewzruszalne: Bóg, Ojczyzna, rodzina, obowiązek pracy, przeciw tym dogmatom nie można przyznać wolności akcji ani propagandy.

Antyparlamentaryzm, antydemokratyzm i antyliberalizm są negatywną stroną ideologii Salazara. Z całą otwartością Salazar stwierdza, że państwo musi prowadzić politykę duchową, wyznawać ideologię, że wypieranie się tego jest z punktu widzenia filozoficznego nonsensem, a z politycznego kłamstwem. Zdaniem portugalskiego reformatora narody niszczą dziedzictwo materialne, ale także, i przede wszystkim, moralne zostawione przez stulecia i „jeżeli świat nie dojdzie do dłuższego okresu idealizmu, uduchowienia, panowania cnót moralnych i obywatelskich, to nie będzie możliwe pokonanie trudności naszych czasów". Salazar wypowiada się za uznaniem rodziny, godności ludzkiej, obowiązku pracy i szacunku dla uczuć religijnych za podstawy bytu społecznego i państwowego; jest przeciw komunizmowi, socjalizmowi, przeciw walce klas, przeciw ludziom bez Ojczyzny i bez Boga, przeciw wszystkim internacjonalizmom. Komunizm jest syntezą wszystkich od wieków znanych buntów materii przeciw duchowi, barbarii przeciw cywilizacji, jest wielką herezią naszych czasów.

Jak się wyraża Salazar: „Największym problemem politycznym jest zorganizowanie narodu na płaszczyźnie organicznej, naturalnej, z poszanowaniem dobrowolnych skupień ludzi na podstawie ich potrzeb i ich działalności, oraz włączenie tych skupień w ramy państwa, aby państwo było reprezentacją narodu". Chcąc rozstrzygnąć ten problem, Salazar włącza rodzinę i korporację zawodową do ustroju państwowego, uważa że nie można ustalać bezpośredniego stosunku między jednostką a państwem, że jednostka musi być ciągle w ramach rodziny i zawodu. Rodzina jest czynnikiem moralnym w ustroju gospodarczym, rozkład rodziny popierany przez liberalizm i komunizm niweczy ważny element, prawdziwą podstawę produkcji. Własność prywatna i dziedziczenie własności są koniecznie związane z rodziną, z narodem pojętym jako związek rodzin. Salazar jest zwolennikiem samokierownictwa gospodarczego, nie chce gospodarki kierowanej; tę „autodyrekcję" gospodarczą podległą tylko kontroli państwa mają urzeczywistnić korporacje zawodowe.

Bezwzględnie potępiając doktrynę komunistyczną, jako aberację umysłową i moralną, częściowo dającą się urzeczywistnić tylko w warunkach prymitywnych lub w poddanych niezwykle ścisłej regule zakonach, patrzy jednak Salazar krytycznie na „totalizm" państwowy i dążności autarchiczno-gospodarcze Niemiec i Italii. Nie można twierdzić, że nic poza państwem

dziać się nie może i że wszystko musi być państwu poddane; w polityce gospodarczej trzeba stosować nacjonalizm bezkompromisowy, lecz zrównoważony, działający z uznaniem zasad solidaryzmu gospodarczego narodów, z wyzyskaniem naturalnego podziału pracy, bez wyrzekania się współudziału w gospodarstwie narodowym kapitałów zagranicznych i cadzoziemskich sił roboczych. Wskazuje Salazar, że potępić trzeba plutokrację, ale nie ludzi zamożnych, uniemożliwić trzeba istnienie spekulantom, ale nie finansistom kredytującym przedsiębiorstwa.

Dyktatura ustanowiona w r. 1926 była, stwierdza Salazar, koniecznością; pozwoliła ona wyjść z chaosu finansowego i administracyjnego nie przy pomocy jakichś cudownych środków, lecz dzięki zastosowaniu klasycznych prawideł administracyjnych i gospodarczych, któremu nic, dzięki dyktaturze politycznej nie stało na przeszkodzie. Konstytucja z r. 1933 nie kończy budowy ustroju. Składa się ona z części dogmatycznej i z części, która jest jeszcze pełna ustępstw dla dotychczasowej sytuacji i atmosfery; ta druga część konstytucji będzie musiała być zmieniana aby zasadnicze wskazania części dogmatycznej mogły być coraz lepiej i prawdziwiej urzeczywistniane.

AUDUN

DYNAMICZNE UJĘCIE STYLU

STARANIEM Koła Polonistów Stud. Uniw. J. P. wyszła niedawno bardzo cenna książka [1]): antologia prac z zakresu stylistyki. Prawdziwą zaś ozdobą tej antologii, najcenniejszą i najgłębszą jest rozprawa wstępna prof. Z. Łempickiego doskonale orientująca nas wśród zagadnień stylistyki. W nauce o stylu widzi autor 3 fazy: historyczną, teoretyczną i filozoficzną. Zjawisko stylu to przede wszyskim zjawisko wyrazu. Autor omawia rozmaite stanowiska, a więc teorię wszechświatowego pędu uczuciowego u Schelera, aby przejść do dynamicznego ujęcia stylu u O. Walzela, określającego styl jako pewną siłę i energię, przejawiającą się w kształcie, czy poprzez kształt. Stylistyka dynamiczna jest przeciwieństwem stylistyki formalnej. Źródła tej siły tkwią przede wszystkim w psychice twórcy. Na źródła tej energii pierwszy oczy otworzył Dilthey, według którego cała twórczość jest emanowaniem tej nagromadzonej w naszej psychice energii, a jej twory są niejako jej zbiornikami, które oddziaływają na widza czy słuchacza.

Zagadnienie stylu zostało niesłychanie pogłębione dzięki filozofii istnienia Heideggera. Ponieważ według niego „substancją człowieka nie jest duch, ani synteza duszy i ciała, lecz istnienie" i to istnienie w świecie, więc świat zmusza człowieka do przeciwstawiania się i wysiłku, a jednocześnie jest mu podporządkowany, jest narzędziem, którym człowiek ma się posługiwać. Sztuka jest czynem tego istnienia. Styl jest tylko częściowo dziełem jednostki, jej psychiki, ale także czymś, co człowieka nawiedza, co nań spada jak los, przeznaczenie. Styl będzie zmaganiem się osobowości twórczej z siłą ponadosobową istniejącą po za nim. Dzieło sztuki naładowane tą energią — będzie z kolei wywoływało reakcję u widza czy czytelnika w postaci wyzwalania energii.

Wnet po aspekcie filozoficznym przyjdzie kolej na aspekt gramatyczny, który znajdzie miejsce w rozważaniach K. Vosslera. Oprócz psychiki autora wykrył on drugie źródło energii — sferę duchową. To sfera wzajemnego zrozumienia się ludzi. Człowiek żyje na świecie, a więc wśród pewnych systemów, które nań napór wywierają i do pewnej postawy oraz walki zmuszają.

Rozróżnia Vossler 3 sfery językowe: ogólnojęzykową, właściwą językowi danego narodu, oraz sferę indywidualnego twórczego wysiłku jednostki. Odpowiada to analogii w językoznawstwie *(langage, langue, parole)*. Podstawowym pojęciem tej stylistyki jest pojęcie wyrazu. Język to *„systéme expressif"*.

Jednym ze źródeł energii stylu jest starcie się między językiem indywidualnym jednostki twórczej, a normą językową, ujawniającą się w języku panującym w danym środowisku i w danym czasie. Według Vosslera i Spitzera styl jest tam, gdzie przejawia się indywidualność twórcza. Czynnik narodowy jest jednym z ważnych czynników ponad indywidualnych, oddziałujących na kształtowanie stylu. Spotykamy się tedy z jakąś siłą, która wybija piętno na wszystkich tworach kulturalnych, danego narodu, a przede wszystkim na poezji. Czasami pewne poglądy na świat potężnie działają na twórczość, albo taki na nią nacisk wywierają (Włochy, Sowiety, Niemcy), że się z pod wpływu jego wyzwolić nie potrafią. Zresztą każdy twórca działa też pod naporem sił ponad indywidualnych. Styl to objaw działania poprzez kształt. Często twórca nie zdaje sobie sprawy z działania sfery duchowej, której ulega.

Krytyk przystępujący do badania dzieła też musi stoczyć walkę z siłą i energią, tkwiącą w dziele. Zadaniem krytyka jest wydobycie cech danego zjawiska, oraz zasadniczego i odrębnego charakteru dzieła. A więc wydobyć i scharakteryzować tę działającą w dziele siłę i wykazać, jakiego starcia, czy też skrzyżowania się sił, jest wynikiem styl dzieła. Oczywiście potrzebny tu jest pewien stopień zażyłości z dziełem i jego twórcą.

Po tej rozprawie wstępnej Łempickiego idzie antologia rozpraw czołowych dzisiaj stylistyków, a więc L. Spitzera („Sztuka słowa a językoznawstwo"), który udawadnia, że styl jest koniecznym biologicznie uwarunkowanym wypowiedzeniem się indywidualnej psyche, że zadaniem naszym jest wykryć ośrodek osobowości, ów punkt, z którego wszystkie uzewnętrznienia się (przede wszystkim języ-

[1]) Leo Spitzer, Karl Vossler, Viktor Vinogradov: Z zagadnień stylistyki. Rozprawa wstępna Zygmunta Łempickiego. Przekłady Janiny Kulczyckiej: Jadwigi Markowskiej, Franciszka Siedleckiego. „Archiwum tłumaczeń z zakresu teorii literatury i metodologii badań literackich". Zeszyt 2. Warszawa, 1937. Str. XLVIII + 160.

kowe) stają się zrozumiałe; K. Vosslera („O gramatycznych i psychologicznych formach języka"), który wychodzi od rozróżnienia (za H. Paulem) kategorii gramatycznych i psychologicznych. Stwierdza, że człowiek w chwili mówienia pozostaje pod władzą treści intencjonalnej, którą wyraża, a ten, co go słucha, może dopiero po apercepcji, po wewnętrznym powtórzeniu i dokładnym jej zrozumieniu pokusić się o wyodrębnienie psychologicznych kategorii, które wchodzą w jej skład. Każda wypowiedź łączy się organicznie z całością życia językowego, zawartego między kolebką i grobem poszczególnego człowieka. Język jest wybuchem wewnętrznych namiętności, wyładowaniem i liryką — i nie da się ująć w prawa języka naukowego. Jest różnica np. między podmiotem gramatycznym, a psychologicznym, intencjonalnym. Gramatyka petryfikuje, tak samo prawo — i organizuje pewien chaos doznań i treści intencjonalnych naszej psychiki. Panuje wieczny konflikt między ustaloną normą a intencją, i tu należy szukać wiecznie żywego źródła twórczości językowej. W rytmie języka również można wyróżnić właściwości formalne i znaczeniowe.

Po tych rozprawach idą roztrząsania formalistyczne Viktora Vinogradova [2]) na temat „Języka artystycznego utworu literackiego" i „Zagadnienia narracji wypowiadawczej w stylistyce". Za palącą potrzebę uważa badanie języka poszczególnych artystów w świetle ogólnych zagadnień „dialektologicznej" i „stylistycznej" tematyki. Postulatem zrozumienia językowych form współczesnej mu rzeczywistości. W tym celu należy możliwie dokładnie zbadać językową kulturę jego epoki. Taka metoda badań stylistycznych nazywa się funkcjonalno-imanentną.

Chodzi także o określenie typologii literackiej struktur językowych, właściwych danej epoce. W drugiej rozprawie wychodzi z założenia, że pisarza należy nie tylko czytać — ale i słuchać, boć mowa pisana podlega ukształtowaniu według praw mowy ustnej; zachowując dźwięk i intonację. Przeciwnie też prawu każda mowa ustna zawiera formy języka pisanego. Narracja wypowiadawcza zdąża jako do ostatecznej swej mety do iluzji zupełnego zidentyfikowania się z żywym ustnym monologiem opowiadającym, gdy natomiast monolog ustny dąży w przeciwnym kierunku.

Widzimy z przedstawienia treści omawianej książki, że zarówno neoidealizm Vosslera i Spitzera jak i formalizm Vinogradowa, dążą do stworzenia takich kategorii, które by były przydatne do analizy artystycznego utworu literackiego. Tłumaczom oraz kierownikowi archiwum Fr. Siedleckiemu a przede wszystkim prof. Łempickiemu należy się szczera wdzięczność za wydanie pożytecznej książki.

Grodzisk Poznański JAN ŚWIERZOWICZ

²) Uważam, że lepsza pisownia tradycyjna jak Dostojewskij, Tołstoj, niż transkrypcja zachodnia Dostoevskij, Tolstoi, Vinogradov itd.

Z CYKLU: POLSKA NA MORZU

UDZIAŁ FLOTY HOLENDERSKIEJ W WOJNIE POLSKO-SZWEDZKIEJ 1655–1660

I

WOJNA polsko-szwedzka za Jana Kazimierza wynikła z powodów błahych, lecz miała przyczyny głębsze. Rząd sztokholmski poczuł się nagle dotkniętym, że kancelaria królewska w Warszawie umieszcza stale przy tytule monarszym „etc." i nie pozbawia polskiego orła państwowego 3 koron na piersiach. Owo „etc." oznaczało zasadniczo „dziedziczny król Szwedów, Gotów i Wandalów", a trzy korony na piersiach orła przedstawiały oznakę władzy nad Szwedami, Gotami i Wandalami. Zarówno „etc.", jak trzy korony, były dekoracyjnymi pozostałościami, uwzględnionymi i w rozejmie Starowiejskim (1629 r.), i w rozejmie Sztumskim (1635 r.), a nie posiadającymi żadnej realnej wartości. Jednakże właśnie zatarg powstał o te dekoracje. Oczywiście, rządowi szwedzkiemu szło zupełnie o co innego, mianowicie o wykorzystania ciężkiej sytuacji politycznej, w której znalazła się Rzplita z racji buntu Chmielnickiego i spowodowanej przez to wojny z Moskwą. Celem, do którego dążył Sztokholm, było powiększenie swego stanu posiadania nad Bałtykiem przez zagarnięcie nadmorskich ziem Rzplitej, należących do niej bezpośrednio, jak ówczesne Prusy Królewskie (dzis. Pomorze), i pośrednio, jak lenna Kurlandia (dzis. Łotwa płdna) i Prusy Książęce (dzis. Prusy Wschodnie).

O rozszerzeniu swych wybrzeży bałtyckich myśleli Szwedzi od chwili odzyskania niepodległości i zrzucenia jarzma duńskiego w pierwszej połowie XVI-go stulecia. Pierwsi Wazowie złączyli ściśle ze Szwecją Finlandię, zagarnęli Estonię i odrzucili od zatoki Fińskiej Moskwę. Gustaw Adolf, po zwycięskiej kampanii inflanckiej, opanował ujście Dźwiny z Rygą i z Inflant, uzyskanych z takim nakładem krwi i trudów przez Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, zrobił szwedzką Liwonię (dziś. Łotwa środkowa i płn.). Wtrącanie się Szwedów do wojny 30-letniej dało im przy podpisywaniu pokoju Westfalskiego zachodnią część Pomorza Nadodrzańskiego ze Szczecinem i Wismarem oraz Rugię. W ten sposób przed 1655 r. 80% linii brzegowej Bałtyku znalazło się w rękach szwedzkich. Zagarnąć pozostałe 20% wybrzeży i zamienić Bałtyk na wewnętrzne jezioro szwedzkie stało się hasłem Sztokholmu.

Całkowite opanowanie morza Bałtyckiego dawało Szwedom: po pierwsze, mocne usadowienie się na trzonie kontynentu europejskiego, a zatem stanie się państwem środkowo-europejskim, i po drugie, ściąganie dla siebie wszystkich korzyści natury gospodarczej, jakich przysparzał morski gościniec bałtycki. Tu dodać należy, że przedostanie się z półwyspu skandynawskiego na stały ląd europejski i przeistoczenie się z północno-zachodniego państewka na środkowo-europej-

skie mocarstwo rokowało Szwecji w XVII-ym wieku, kiedy na kontynencie rozpoczynał się pojedynek burbońskiej Francji z habsburskiem cesarstwem niemieckiem, wielkie sperandy polityczne, zważywszy na możliwość objęcia przez Sztokholm supremacji nad protestanckimi Niemcami, podburzanymi przeciwko Habsburgom przez Paryż. To była strona polityczna medalu. Pozostawała druga, niemniej ważna, gospodarcza. Południowe i wschodnie wybrzeże morza Bałtyckiego, będące zlewiskami wielkich wodnych arterii komunikacyjnych: Dźwiny, Niemna, Wisły i Odry, stanowiły wielkie miejsca wyładunkowe dla nieprzebranych ilości zbóż i drzewa, idących z żyznej i lesistej Polski na rynki środkowo-europejskie. Stąd Ryga, Kłajpeda, Królewiec, Szczecin, a przede wszystkim Gdańsk, jako miasto portowe, leżące w dodatku nad ujściami wspomnianych powyżej rzek, stały się najbogatszymi ośrodkami handlu morskiego, idącego przez Bałtyk ku portom holenderskim, angielskim, francuskim i śródziemnomorskim. Szwedzi mieli już Rygę i Szczecin, a zatem byli w posiadaniu spławu dźwińskiego i odrzańskiego, nie mieli natomiast „perły Bałtyku", Gdańska, przez który odbywał się najważniejszy spław wiślany, ogarniający sobą dwie trzecie handlu morskiego Rzeczypospolitej, owego śpichlerza zbożowego i budulcowego dla całej Europy Zachodniej.

Zawładnięcie morskim wybrzeżem Polski w postaci Prus Królewskich wraz z lenną Kurlandią i Prusami Książęcemi oraz skrawkiem Pomorza Nadodrzańskiego, jakim rozporządzał hołdujący Warszawie z Prus Książęcych elektor brandeburski, było zamknięciem całkowitym wschodniej linii brzegów Bałtyku, która w przeważającej części już należała do Szwedów. Linia zachodnia, t. j. linia półwyspu skandynawskiego, była w posiadaniu Sztokholmu od niepamiętnych czasów. Pozostawały jeszcze cieśniny duńskie, otwierające wyjście na Kategat i Skagerrak oraz parę wysp na Bałtyku z Bornholmem na czele. Wysuwała się z tego konieczność wojny z Danią, bo na pokojowe ustąpienie Duńczyków z południowej krawędzi Skandynawii, t. zw. Skonii, oczywiście nie można było rachować. Zmienienie zatem Bałtyku z morza otwartego, „*marę liberum*", na morze zamknięte, „*mare clausum*", mogło nastąpić jedynie w drodze zbrojnych zapasów z Polską, posiadaczką znacznej połaci wschodniego wybrzeża Bałtyku, jak z Danią, panią cieśnin, wiodących na Bałtyk od oceanu Atlantyckiego. Wytknięty przez Gustawa Adolfa szlak mocarstwowego rozwoju Szwecji nakazywał jej zmierzenie się z tymi obydwoma państwami.

Gabinet sztokholmski, na czele którego stał świetny mąż stanu, kanclerz hrabia Axel Oxenstierne, dążył wytrwale i konsekwentnie do urzeczywistnienia planów Gustawa Adolfa. Od chwili zakończenia wojny 30-letniej, w której Szwedzi zostali pasowani na mocarstwo europejskie, gotowano się intensywnie do przyszłej kampanii. Zwrócono baczną uwagę na powiększenie i wyćwiczenie wojsk lądowych, które miały dać zwycięstwo nad Polską, i marynarki wojennej, która miała wywalczyć wiktorię nad Danią. Nastąpiło coraz ściślejsze porozumienie z Francją, popierającą stale Szwedów od czasów wojny 30-letniej, zawiązano lepsze stosunki z Moskwą, która bolała wprawdzie nad utratą brzegów zatoki Fińskiej, lecz z drugiej strony angażowała się coraz bardziej w odwetową kampanię przeciwko Rzeczypospolitej za „*smutnoje wriemia*". Nie pozostawiono na uboczu republikańsko-purytańskiej Anglii, w której lord-protektor Cromwell interesował się coraz więcej zagadnieniem morskim i toczył zwycięską wojnę z Holandią (1-sza wojna anglo-holenderska 1652/54 r.). Gabinet sztokholmski zdawał sobie jasno sprawę, że kwestie bałtyckie obejdą Holendrów, mających wówczas w swych rękach monopol handlu morskiego, wszak 75% tonażu morskiego odbywało rejsy pod banderą Niderlandzkich Stanów Generalnych, i właśnie przeciwko Holendrom nawiązano kontakt z Londynem, nie zważając na ogólny wstęt i pogardę, jakie wzbudziły w stosunku do Anglików w całym ówczesnym świecie cywilizowanym proces sądowy i ścięcie prawowitego monarchy, króla Karola I-go. W tajemnicy poczęto porozumiewać się nawet z lennikiem polskim, elektorem brandeburskim, Fryderykiem Wilhelmem, choć zamierzano odebrać mu przy pierwszej sposobności ten wschodni skrawek Pomorza Nadodrzańskiego, który dał mu traktat Westfalski. Jednym słowem, Sztokholm rozpoczął grę na wielką skalę i w wielkim stylu. Co jednak najważniejsze, że rządy nad Szwecją objął w owym czasie siostrzeniec wielkiego wojownika na tronie, Gustawa Adolfa, niemiecki książę Dwóch Mostów, Karol X-ty Gustaw (1654—60 r.), świetny żołnierz i utalentowany organizator, wsławiony przewagami wojennymi w wojnie 30-letniej, które osiągnął, przechodząc przez wszystkie stopnie oficerskie w armii swego wuja, aż do stanowiska generalissimusa włącznie.

Armia szwedzka, utrzymywana stale z racji zawieruchy w Niemczech na stopie wojennej, została jeszcze bardziej powiększona przez pobór rekruta w Skandynawii i zaciąg ochotniczy cudzoziemców, przeważnie Anglików, Niemców i Szkotów. Liczyła ona 50 pułków. Wyćwiczenie i zaopatrzenie stały doskonale, dyscyplina była świetna. Równie dobrze przedstawiała się marynarka, zainicjowana przez pierwszego Wazę na tronie, Gustawa I-go, który sprowadził do budowy swej floty inżynierów z dalekiej Wenecji i miewał okręty o 175 działach i 800 ludziach załogi (słynny „Makalös"). Jednostki szwedzkie były przeważnie o dużej wyporności, jak na owe czasy, i bardzo przypominały okręty holenderskie. Artyleria przeciętnego okrętu szwedzkiego wynosiła 60 dział, a parę jednostek miało po 75 armat. Stan załogi na jednostce dochodził do 350 ludzi, w tem 33% morskiej piechoty. Połowę załóg składali najemnicy niemieccy i angielscy. Między oficerami było kilku Holendrów. Flota szwedzka słynęła z żelaznej karności i dyscypliny, która w niczym nie ustępowała dyscyplinie wojsk lądowych, i była rzeczywistym wojskiem morskim. Wyćwiczenie wojskowe i żeglarskie było bardzo dobre, wojskowe górowało nad żeglarskim. Zaopatrzenie nie pozostawiało nic do życzenia. W szeregach były okręty liniowe, fregaty i brandery oraz trochę jednostek pomocniczych, przerobionych ze statków handlowych. Razem flota liczyła około 50 okrętów wojennych.

(D. c. n.)

WITOLD HUBERT

NA WIDOWNI

Wspomnienie pielgrzymstwa.—Dr. Lewak o Rapperswilu. — Świadectwo kultury polskiej, — Dwie generacje pisarzy. — Synteza epoki. — Parlamentaryzm w ścianach Muzeum. — Nic się nie zrobi bez walki.

PRZECZYTAŁEM w tej chwili bardzo interesujący szkic z dziejów kultury polskiej dr. Adama Lewaka, docenta Uniwersytetu Warszawskiego i bibliotekarza rapperswilskiego, p. t. „Muzeum Narodowe Polskie w Rapperswilu, 1869—1927” [1]) Pierwsza z tych dat to rok, w którym Władysław Plater, stary emigrant z r. 1831, b. poseł na Sejm warszawski, dał początek posterunkowi polskiemu w Szwajcarii przez wzniesienie nad jeziorem Zuryskim pomnika bojów polskich o niepodległość; druga zaś data oznacza moment przewiezienia zbiorów Muzeum Rapperswilskiego do Warszawy.

Nie wszyscy w młodszym pokoleniu znają dzieje emigranckiej instytucji. Ci zwłaszcza co zaglądają do czytelni Biblioteki Wojskowej na końcu alei Ujazdowskiej, nie zawsze zdają sobie sprawę, że znajdują się w kręgu pomników Polski XIX stulecia, pomników tego życia, które reprezentowało Polskę na zachodzie Europy, a było ekstraktem wielkiego dramatu tego narodu. Wszystko, co najżywiej ten dramat wzięło do serca, co chciało i umiało cierpienia i protesty narodu zadokumentować, wszystko to znalazło się w drukach i archiwach przewiezionych w r. 1927 w aleję Ujazdowską. Nie są to pomniki martwe: one mówią—wsłuchujcie się, czytając. Mówią one w sumie ogólnej to, co Plater wypisał na owym pomniku w roku 1869: „Niespożyty duch polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemiężącej go przemocy z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata”. Muzeum Rapperswilskie było tej idei rozwinięciem. Biblioteka przy muzeum była jak pompa ssąca, ściągająca rzeczy polskie z obczyzny. W rezultacie w r. 1927 posiadała 91 tysięcy druków (książek, broszur, ulotek, czasopism), 27.000 rękopisów (w tym wszystkie archiwa stowarzyszeń emigracyjnych), 23.000 sztychów i rycin, 1.400 map i atlasów, 10.000 fotografij i t. d.

Rzec można, nic nie zginęło, co było śladem i owocem wysiłków ducha polskiego na emigracji, od szarych rachunków gospodarczych biedoty tułaczej do wielkich widzianych na cały świat wzlotów poezji i filozofii. Wszystko to wróciło do kraju. A mówię o tym na to, by podnieść tężyznę kultury polskiej w dziedzinie organizowania życia społecznego. Była to przecież rozsypka, piasek ludzki, zagnany wiatrem północnym w świat obcy od Anglii po Stambuł, na Paryż, Szwajcarję, Bałkany, Włochy. Nie każda emigracja na to się zdobędzie.

Wzruszający jest opis dra Lewaka przewiezienia zbiorów do kraju w r. 1927. Odbywało się ono pod jego pieczą jako bibliotekarza. Delegacja szwajcarska odprowadzała pociąg do granicy, do Warszawy zaś przybyła w wagonie, gdzie jak w kaplicy przewieziono w urnie serce Kościuszki, straż honorowa szwajcarska w osobach dwu oficerów.

Wagonów naładowanych zbiorami było 14. „Drogą przez Austrię i Czechy przybył transport d. 14 października 1927 r. na granicę do Zebrzydowic. Przybył późną nocą i tylko robotnicy pracujący niedaleko od stacji, oraz kolejarze, którzy dowiedzieli się o przyjeździe pociągu, przechodzili przez wagon, przyklękali przed urną, i oddawali hołd sercu Naczelnika”.

Warszawa w tej dacie była znowu bezdziejowa psychicznie, wypadki i stosunki świeżo wytworzone zasłoniły widok na perspektywę dziejową. Nie odczuto należycie tego wzruszającego finału dramatycznej epopei polskiej w. XIX.

Daleko uroczyściej i ze zrozumieniem aktu postępowali inicjatorzy sprowadzenia zbiorów w latach 1921—1923. Zadecydowała o przewiezieniu ich Rada ministrów 28. II. 1923, spełniając rezolucję Sejmu Ustawodawczego z 21. X. 1921. Rezolucja ta opiewała:

„1. Twórcom, opiekunom i pracownikom Muzeum Narodowego w Rapperswilu wyraża Sejm w imieniu Ojczyzny podziękowanie i cześć narodu za wiarę i moc ducha, jakich nie utracili w najcięższych latach niewoli.

2. Sejm wyraża wdzięczność wolnemu narodowi szwajcarskiemu za udzielenie w epoce ucisku i przemocy gościny Muzeum Narodowemu Polskiemu w Rapperswilu i t. d.”

— — — — — — — — — — — —

Uchwałę powyższą Sejmu wolnej już Polski chowam między swymi dyplomami, i mnie bowiem poniekąd tyczy punkt pierwszy, wyrażający uznanie „pracownikom”.

Do „twórców” należał przede wszystkim Władysław Plater, którego życie i właściwości doskonale scharakteryzował dr. Lewak na pierwszych kartach swej pracy. Pomysły jego od r. 1869 na temat placówki polskiej w Szwajcarji wydawały się wielu ludziom dziwactwem. W dziwactwie jednak tego człowieka była metoda. Może właśnie dla tego, że był romantycznie pijany szałem projektów, wykonał za instynktem polskim dzieło, które, jak teraz widać, tak logicznie wiąże się z całością dziejów, jako ich symbolika. To był jego poemat. Zajmowała go propaganda i reprezentacja. Jedynie w Szwajcarji, życzliwej sprawom wolności ludów, mógł w tych czasach urządzić demonstrację praw Polski do życia wolnego. Wydzierżawił starożytny zamek hrabiów na Rapperswilu, zbudowany w w. XI, swoim kosztem go restaurował; na wieży postawił maszt, na którym w święta narodowe powiewała polska chorągiew. Zamek stoi na półwyspie jeziora Zuryskiego. W święta Plater brzegi jeziora pięknie iluminował. W prasie europejskiej pełno było notat o Rapperswilu, założyciel miał bowiem rozległe stosunki i do pomocy biuro propagandy.

W pracy swojej historycznej o początkach Muzeum [2]) pierwszy zwróciłem uwagę na to, że Plater tworząc swój poemat pełen symboliki politycznej, wybiegał poczuciem sprawy poza ramy psychiki emigracyjnej. Dosięgły go tutaj przez dzienniki prądy ideowe z kraju t. zw. pracy orga-

[1]) „Niepodległość”. Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski pod redakcją Tadeusza Szpotańskiego. Owe „dzieje Polski” dotychczas traktowane były w tym wydawnictwie prawie wyłącznie jako monopol ruchawki socjalistycznej.

[2]) „Rzut oka na dzieje Muzeum Narodowego w Rapperswilu, 1869—1893”. (Z przedmową T. T. Jeża). 1894. Nakładem Muzeum N. Str. XVI i 87.

nicznej. Z symboliką polityczną usiłował połączyć w Muzeum zadania użyteczności naukowej, aby Rapperswil był i propagandą, i warsztatem naukowym i szkołą i ogniskiem dla Polaków. Niewątpliwie było w tym wiele osobistego wpływu Kraszewskiego, jednego z najpierwszych „opiekunów" Muzeum.

Plater załamał się ze starości i z tego, że w końcu zabrakło na to wszystko majątku. Zamek jeszcze nie był wykończony, a zbiory początkowe były zaledwie składem materiału, gdy zaskoczyła go śmierć r. 1889 w ustroniu wiejskim koło Zurychu, nazwanym od jego przydomka Broelbergiem.

Wtedy się zaczął drugi okres dziejów Muzeum. Rządy objęła Rada muzealna z Józefem Gałęzowskim (Paryż) i Henrykiem Bukowskim (Sztokholm) na czele. Ci należą do „twórców" nie mniej zasłużonych niż Plater. Ich praca, oparta na ofiarności zbiorowej, dźwignęła instytucję z ruiny finansowej. Po paru latach można już było pomyśleć o wydobyciu ze składów materiału bibliotecznego i zacząć prawidłową pracę. Wtedy wezwano ku pomocy ludzi z kraju; znalazłem się tam jako bibliotekarz, a niebawem jako pomocnik—Żeromski— „pracownicy"

Godne jest uwagi, że na tym skrawku użyczonej przez Helwetów wolności zaczęły się wywiązywać, jak to chemia robi w retorcie, procesy zmierzające do wytworzenia z tej instytucji ciała reprezentacyjnego. Znaczący jest udział w tym wszystkim przedstawicieli literatury. U kolebki Muzeum stali Teofil Lenartowicz i J. I. Kraszewski, duszą jego był stale Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż). To dawne pokolenie pisarzy zetknęło się tutaj przez Jeża z Żeromskim i z W. Karczewskim (Jasieńczykiem) — opiekunowie z pracownikami.

— — — — — — — — — — — — —

Z biegiem czasu Rada muzealna nabierała charakteru miniaturowego parlamentu, gdzie ścierały się z sobą tendencje różnych ugrupowań zarówno emigracyjnych, jak krajowych. Rada bowiem miała w swoim zarządzie oprócz Muzeum parę fundacyj, mianowicie: stypendialną (dla młodzieży studiującej zagranicą, i Skarb Narodowy. Do Rady należeli prócz emigrantów ludzie powołani z kraju. Dobór dawał już powód do tarć w łonie Rady jako ciała kooptującego; potworzyły się partie, ścierające się ze sobą zwłaszcza w sprawach rozdziału zasiłków ze Skarbu Narodowego. Można sobie wyobrazić, jak niespokojne dla Rady były czasy, gdy w kraju rozwijała się coraz ostrzejsza walka między obozem nacjonalistycznym, przeciwnym rewolucji na terenie Królestwa Polskiego, a obozem masońsko-socjalistycznym. Stary Jeż, Leonard Tarnawski, Bukowski, potem Z. Balicki, R. Dmowski mieli dość trudne zadanie w walce z liberałami, jak Karol Lewakowski, Bojko, Rutowski ze Lwowa i t. p.

Raperswil nabierał żywotności, ale trząsł się w posadach, co nie zawsze było bezpieczne dla zbiorów muzealnych. „Opiekunowie", walcząc między sobą, wciągali w grę „pracowników" i wogóle gospodarkę w instytucji. Członkowie Rady z Galicji szukali porozumienia z emigrantami, aby zrobić jakiś interes partykularny. Wypatrzywszy, że starzy emigranci niezadowoleni są z bibliotekarzy (bo niezadowolony był z ich kontroli zaufany kustosz) rozpoczęli planową akcję, aby Rada wyrzekła się wogóle biblioteki i oddała ją do Lwowa.

Systematyczne intrygi T. Rutowskiego, prezydenta m. Lwowa, doprowadziły do tego, że w Radzie muzealnej znalazła się w r. 1910 dla tego pomysłu większość. Uchwała jednak nie została zrealizowana wskutek protestu opinii i wskutek głośnej rozprawy w roku następnym na posiedzeniu Rady, rozprawy iście dramatycznej między Radą a zbuntowanym „pracownikiem" Żeromskim.

Za swoją zasługę, nie mniejszą od dźwigania biblioteki w latach 1892—1894, poczytuję to, że w r. 1911 przed ową rozprawą wydałem broszurę [3]) w obronie całości zbiorów.

Powstała ona z szeregu artykułów, ogłoszonych w „Słowie Polskim". Polemika była zażarta, a tym trudniejsza, że przeciwnicy podżegali patriotyzm lokalny i robili ze mnie wroga Lwowa. Sprawa emigracyjna tak była odrębna od wszystkiego, co było powodem walk partyjnych, że pomieszały się szyki bojowe. Przyjaciel nasz Fr. Rawita-Gawroński stanął przeciwko teściowi Miłkowskiemu, ja zaś zwalczając stanowisko Rady muzealnej, znaleźć się musiałem obok Żeromskiego, robiąc przez to dywersję Z. Balickiemu, który jako członek Rady ze względu na stosunek do Skarbu Narodowego, w tej sprawie spornej chciał być neutralnym.

Rutowski i jego adherenci traktowali sprawę demagogicznie, kładli bowiem nacisk na logikę użyteczności zbiorów. We Lwowie biblioteka będzie miała więcej czytelników; książka jest na to, by ją czytano. Zwyciężyła jednak opinia, upatrująca wartość historyczną instytucji, tkwiącą właśnie w bibliotece. Emigracja była emanacją zaboru rosyjskiego, tam też zbiory winny wrócić. Lwów ma bibliotek poddostatkiem. Zresztą wolą założyciela Platera było (według statutu): „Założyciel ofiaruje urzędownie ten zakład narodowi polskiemu i dopóki Polska nie odzyska swej niepodległości i nie będzie miała swego rządu narodowego, zarząd muzealny będzie tę własność reprezentował..."

Ludzie bardzo praktyczni świeżej daty, deklamujący o niepodległości przegrali sprawę. Skorygowali „opiekunów" „pracownicy" i uratowali zbiory dla Warszawy.

— — — — — — — — — — — — —

Biblioteka, trzeba to przyznać jej obecnemu bibliotekarzowi, jest dobrze ulokowana i zagospodarowana. Byłoby natomiast coś do powiedzenia o zbiorach charakteru muzealnego. Pamiątki te w całości swojej mogłyby stanowić rodzaj pomnika Emigracji, owej czwartej dzielnicy Polski w czasie rozbiorów. Nie wiem, co się z nimi stało.

Dr. Lewak powinien, moim zdaniem, rozwinąć swój szkic rapperswilski i wydać historyczną monografię tego końcowego aktu w dramacie emigracji polskiej. Byłaby to pouczająca i barwna karta dziejów naszej kultury i uzupełniłaby ubogą literaturę o czasach pielgrzymstwa polskiego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

[3]) Zygmunt Wasilewski. „W obronie polskiej stacji zagranicznej". Lwów, 1911 r. Str. 89.

GŁOSY

NIEPEŁNE OTRZEŹWIENIE

Na jednym z ostatnich posiedzeń sejmowej komisji budżetowej w dyskusji nad polityką wewnętrzną sprawozdawca dotknął w swym referacie ważnej politycznie sprawy, wewnętrznej wobec obcych solidarności w łonie naszego organizmu państwowego, obejmującego swym kształtem żywą treść narodowego społeczeństwa. Nawiązując do ciągłych niepokojów na froncie uczelnianym, wywołanych baczną i nieustępliwą postawą młodzieży wobec nieuzasadnionych i na tem polu roszczeń żydowskich, mówca wyraził się optymistycznie: „żydzi muszą pamiętać, że ani Rząd polski ani społeczeństwo nigdy nie mogą zapomnieć o tym, że wybryki (mowa zapewne o zapędzaniu żydów w *ghetto* — przyp. mój) są popełniane przez nasze dzieci, naszą krew i naszą nadzieję”.

Jeśli po długim bardzo nie pamiętaniu o niewątpliwym krewieństwie z narodem wiadome sfery zaczynają zwolna przychodzić do stanu obowiązującej w nowoczesnym społeczeństwie świadomości, to jest to objaw pocieszający, przemawiający za słusznością obranej przez obóz narodowy metody. Najwidoczniej rację mieli pierwsi pionierzy „zielonej wstążeczki”, początkowego symbolu niezawisłości wewnętrznej w Polsce, hasła tak do niedawna jeszcze małą się u góry drabiny społeczno-państwowej popularnością cieszącego.

Dziś nawet p. premier zauważył

> u żydów pewną niechęć spojrzenia prawdzie w oczy. Zachodzą w Polsce przemiany społeczne i ekonomiczne, które dokonywałyby się również, gdyby żydów nie było w Polsce. To znaczy podwyższenie poziomu życia chłopa polskiego drogą przejścia do miast i te wyższe wartości ekonomiczne muszą być nie tylko nie powstrzymywane przez rząd polski, ale popierane, bo to są wyższe ekonomicznie wartości narodu polskiego. Dlatego żydzi muszą zrozumieć tę sytuację. muszą zrozumieć, że walka ekonomiczna z nimi nie jest naruszeniem ich praw, ani też nie jest atakowaniem ich jako obywateli państwa.

Słowa powyższe, ustęp przemówienia p. premiera na sejmowej komisji budżetowej, świadczą o przemianach, jakie w pojęciu powszechnym zaszły w poglądach na kwestię żydowską. Ale i przez swą niepełność stają się dla obozu narodowego bodźcem do rychłego wywalczenia pełnych praw w opinii publicznej kraju także i dla polityczno-społecznej oraz kulturalno-obyczajowej, — nie tylko gospodarczo-ekonomicznej, — niezawisłości i samodzielności Polaków w Polsce.

DROGI PRZECIWDZIAŁANIA KOMUNIZMOWI

„Bolszewizm nie jest systemem, formą ustroju społecznego, lecz skomplikowanym procesem społecznym, prowadzącym do rozkładu systemów istniejących” (Florian Znaniecki) — oto naukowa definicja zjawiska społecznego o charakterze schorzenia, atakującego organizm zbiorowy w chwili, gdy zaszły w nim następujące zmiany sprzyjające zaburzeniom w życiu narodu i państwa: 1) gdy warstwa przodująca i rządząca nie stoi na wysokości zadania, nie umie podołać trudnościom stawianym przez życie i traci wpływ na warstwy ludowe; 2) gdy poszczególne warstwy, naród i państwo tworzące, zostaną między sobą skłócone.

Ale i ponieważ „rewolucji nie przygotowuje lud, ale trzeba przygotować lud do rewolucji” (Włodzimierz Uljanow-Lenin), innymi słowy dla rozkołysania „dołów” trzeba użyć dużej ilości wielokrotnie stosowanej energii, aby przezwyciężyć opór bezwładny masy, więc skuteczne przeciwdziałanie wśród owych, najszerszych warstw narodu liczyć może na powodzenie.

Akcja sfer decydujących... oczywiście. Ale i zaczepne działanie zorganizowanych narodowo warstw oświeconych batalię z komunizmem wojującym wygrać powinno, i to przedewszystkiem na drodze, jak zaznaczyliśmy powyżej, całkowitego wyrugowania wpływu ich na warstwę ludową. Że zbudził się analogiczny ruch wśród inteligencji, dowodem zorganizowany przez Centralne Biuro Porozumienia Antykomun. w sali „Romy” cykl wykładów o komunizmie oraz takie publikacje, jak „Ofensywa Komunizmu i drogi przeciwdziałania” (Katowice — 1938) Henryka Glassa, autora także broszury „Wpływy Kominternu wśród nauczycieli”, W-wa 1938, której drugie rozszerzone wydanie (pierwsze wyd. wyczerpane w 14 dniach) obecnie się wraz z poprzednią publikacją ukazało.

Z OBCEGO ŚWIATA

GALWANIZACJA LIGI

SETNA, jubileuszowa sesja Ligi Narodów zapowiadała się wcale ciekawie, dwie bowiem potęgi światowe o obliczu najzupełniej różnym dołożyć miały wszelkiego wysiłku, ażeby ligowego trupa, najwyraźniej się już rozkładającego, ożywić. Potęgi te to Wielka Brytania i Związek Sowieckich Republik Rad.

Sprawie ewentualnej reorganizacji genewskiego areopagu poświęcono w Londynie aż osobną sesję gabinetową. Min. Eden dostał szczegółowe instrukcje. Ma dążyć do stworzenia takiej atmosfery, któraby umożliwiła wejście z powrotem do Ligi zarówno Niemcom jak i Włochom. Hitler tedy i Mussolini mogą być zadowoleni. Polityka faktów dokonanych, którą reprezentują, odniosła tryumf. Zrobili co zamierzali, a świat na postawę Anglii odpowiedział ukłonem zaproszenia, za którym kryje się chęć ułagodzenia mocnych za wszelką cenę.

Postawa gabinetu angielskiego jest zrozumiała. Anglia ostatnimi czasy starała się uczynić z Ligi narzędzie swojej polityki, ośrodek, skądby emanował wpływ imperium brytyjskiego. Przypomnijmy sobie tylko sprawę sankcji antywłoskich podczas aneksji Abisynii. Myśli tej — jak widać — Londyn nie poniechał do dnia dzisiejszego. Wielce znamienne są słowa lorda Cecila wypowiedziane dnia 24 stycznia w Hanley:

> „Jeśli wielkie mocarstwa mogą mieć nadzieję, że dzięki swej sile i swoim sojuszom, mogą zachować niepodległość swych terytoriów, to państwa mniejsze nie mają żadnych widoków uratowania się tym sposobem“ („Kur. War.“ 26.I.38).

Mowa aż nadto jasna, zakrojona, przyznać trzeba, na wielką skalę. Bo o cóż innego tu chodzi, jeśli nie o rozciągnięcie autorytetu brytyjskiego na wszystkie owe „państwa mniejsze”, które połączone jedną koncepcją stanowią siłę, z którą liczyć się musi każdy?

W sukurs kapitalistycznej, konserwatywnej, monarchistycznej Anglii idzie antykapitalistyczna, proletariacka, marksistowska Rosja. Stalin — zauważmy — pochłonięty całkowicie sprawą „czyst-

ki", zaniedbał nieco ostatnimi czasy politykę zagraniczną. Spotkał się też w Radzie Ludowej z zarzutami wymierzonymi oczywiście nie bezpośrednio w jego osobę, ale w komisarza Litwinowa, który jednak pozostał w nowym sowieckim gabinecie Mołotowa. I komisarz Litwinow jedzie do Genewy. Wszak ma być ona Mekką państw demokratycznych i liberalnych a skrajnie antydemokratyczna i antyliberalna Rosja obecna pragnie na anarchii krajów pozbawionych trzonu władzy autorytatywnej robić swoją karierę imperialną.

Jak widać, obchodząca swój jubileusz Liga, nabiera w chwili obecnej kolorów. Niechaj się jednak nikt nie łudzi, że oznaczać one będą siłę i wiek męski. W misję genewskiej instytucji, tak jak ją pojmował kiedyś utopista Wilson, nikt już nie wierzy. Nawet Anglia i nawet Rosja, dwa kraje, które wspólnym wysiłkiem pragną dokonać próby galwanizacji. Liga Narodów jest im potrzebna, potrzebna ich egoistycznym, ściśle egoistycznym planom. „Małe państwa" i „kraje demokracji" traktowane są jedynie jako pionki na szachownicy wielkiej gry. Umiejętność uniknięcia pozycji pionka stanowi istotę kunsztu dyplomatycznego. O tej prawdzie pamiętać winni stale kierownicy polityki zagranicznej poszczególnych mocarstw, zwłaszcza, że potęgi inne, „totalne„", „autorytatywne" na tej samej szachownicy rozstrzygnąć zechcą również swoją partię i również poszukują pionków.

ELLENDER, BILBA i ROOSEVELT

W senacie amerykańskim odżyły tradycje wojny między stanami południowymi a północnymi. Stany południowe znowu wystąpiły przeciw równouprawnieniu murzynów. Możnaby się nawet zgodzić z postawą południowców, jako że zasada równości politycznej przestała być dogmatem istotnego postępu, gdyby senatorowie Ellender i Bilba nie urządzali słynnej już obstrukcji walcząc o... prawo lynczu. Tak jest — dyskutuje się bowiem obecnie w Waszyngtonie projekt karania administracyjnego funkcjonariuszów policji i więziennictwa, którzy nie byli w stanie powstrzymać tłumu przed faktem zlinczowania podejrzanego o przestępstwo.

Gorące, namiętne sprzeciwy wnoszą senatorowie demokratyczni, wśród których wyżej wymienione nazwiska Ellendera i Bilba obiegły już świat w komunikatach prasowych.

Jednocześnie jako akt międzynarodowy pierwszej jakości wysuwa się oświadczenie prez. Roosevelta, który proponuje uznanie aneksji Abisynii przez Włochy za cenę ogólnego międzynarodowego porozumienia.

Utopijne oświadczenie głowy Stanów Zjednoczonych nie jest pierwszym w historii tego kraju. Jest w nim wiele cech nieżyciowego purytanizmu, jakaś chęć unikania walki, ciągłego, ustawicznego unikania walki, krycia się przed nią, chociażby w oparach zupełnej nierealności.

Zestawienie wniosku rooseveltowego z przemówieniami senatorów domagających się zachowania bardziej niż brutalnego lynczu, daje nam jaskrawy obraz duchowego oblicza Ameryki, jej cywilizacji nieokrzepłej, prymitywnej, barbarzyńskiej. Dzisiaj minęło już powszechne zachłystywanie się krajem z za Oceanu, który potrafił stać się przez pewien czas bankierem świata, który dał typ kultury jakby wyprodukowany przez maszynę z dniem każdym udoskonalaną, bardziej precezyjną. „Im maszyna mądrzejsza, tym człowiek głupszy" powiedział kiedyś Dmowski — gorzej, jeśli jakość człowieka starano się zastąpić istotą stworzoną na wzór produktu fabrycznego.

Stany Zjednoczone zabłysły na horyzoncie, gdy rzuciły na front zachodni swoich żołnierzy, po raz drugi zaś, gdy ukazały się wybiedzonej Europie w pełnej krasie materialnego dosytu. Dzisiaj gwiazdy amerykańskie poczynają blednąć. Po akcie daniny krwi z lat 1917-ych i 1918-ych nastąpiły lata późniejsze, gdy to zatriumfowała tam zasada nie mieszania się do spraw pozaamerykańskich, zasada narodowego *ghetta* w wydaniu właśnie najgorszym.

Obrona lynczu przez demokratycznych senatorów z południa i utopijne wnioski prezydenta Roosevelta... doprawdy, nie ze Stanów idzie światło, jak jeszcze wczoraj powszechnie sądzono.

NAUKA I LITERATURA

NOWY SŁOWNIK GEOGRAFICZNY

NIEMASZ chyba nikogo wśród tych, co chcieli poznać kraj ojczysty, ktoby nie znał, nie cenił, można boda powiedzieć nie kochał „Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich", opracowanego w latach 1880 — 1902 przez Chlebowskiego, Sulimierskiego i Walewskiego i obejmującego 15 wielkich tomów.

Trzeba sobie przypomnieć trudności, jakie stały wówczas przed tymi, co dzieło takie napisać zamierzali. Wszak nie było bogatych instytucyj naukowych, uniwersytetów polskich, licznych stowarzyszeń naukowych i innych. A obok tego istniała cenzura i administracja rosyjska, która niechętnym patrzyła okiem na wszelkie nasze przedsięwzięcia polskie.

Największe ma zasługi i najwięcej pracy włożył w „Słownik Geograficzny" Bronisław Chlebowski, który dziełu temu niemal życie swoje poświęcił, bo zaniedbał swe największe zamiłowania, byle rzecz przez Sulimierskiego i Walewskiego rozpoczętą do końca doprowadzić.

Stary ten „Słownik" nie odpowiada już oczywiście warunkom naszym. Wszak na ziemi polskiej wiele nastąpiło zmian od tego czasu. Wszak posiadamy państwo polskie i nowe jego granice. Wszak jest nowy podział administracyjny tego państwa. Wszak w życiu miast, miasteczek i wsi wielkie zaszły zmiany, a nasze nowoczesne: przemysł, rzemiosło, handel i rolnictwo nie są już tym, czym były.

Istniała tedy nagła potrzeba nie przerobienia lub uzupełnienia „Słownika" dawnego, lecz ułożenia nowego, zgodnego z nowym stanem rzeczy na ziemi polskiej i z obecnym poziomem wiedzy geograficznej.

Inicjatywa takiego dzieła powstała na pierwszym ogólno-polskim Kongresie Krajoznawczym, który na wniosek Polskiego Tow. Krajoznawczego odbył się w d. 12—13 lipca 1929 r. w Poznaniu.

Utworzono odpowiedni aparat redakcyjny, powołano na redaktora naczelnego prof. dr Stanisława Arnolda, dodano mu Komitet redakcyjny z wybitnych uczonych, uzyskano pomoc i zapomogi od różnych ciał naukowych, przede wszystkim Funduszu Kultury Narodowej.

I oto po latach niespełna dziesięciu mamy przed sobą cztery pierwsze zeszyty „Słownika Geograficznego Państwa Polskiego i ziem historycznie z Polską związanych", obejmujące 272 strony dużego formatu, dobrze wytłoczone na pięknym papierze z ilustracjami.

Układ nowego „Słownika" jest inny niż dawnego. W tamtym była treść ułożona w porządku alfabetycznym.

W tym obejmie każde województwo część osobną, stanowiącą całość. Tom pierwszy obejmować będzie — Pomorze polskie, Pomorze zachodnie i Prusy Wschodnie.

Zaczyna się od obszernego i gruntownego opisu ogólnego. Mamy więc kolejno rozdziały takie: Położenie geograficzne; Geologia i morfologia; Klimat; Hydrografia; Roślinność; Fauna; Ludność; Etnografia; Toponomastyka; Osadnictwo; Stosunki gospodarcze; Sztuka i Prehistoria. A dalej rozpoczynają się opisy poszczególnych miejscowości w porządku alfabetycznym — mamy literę A i początek litery B...

Na ocenę pracy dokonanej przyjdzie czas, gdy będzie zakończony tom, obejmujący Pomorze i Prusy Wschodnie. Dziś jednak już powiedzieć można, że nowy „Słownik Geograficzny" zajmie godne miejsce obok dawnego, że stanie się niezbędną książką podręczną dla pracowników naukowych, dla pisarzy i polityków, dla urzędników i nauczycieli, dla kierowników życia gospodarczego, no i dla wszystkich Polaków, chcących znać i rozumieć swój kraj i życie jego mieszkańców.

Dając tę notatkę, życzymy „Słownikowi Geograficznemu jaknajszerszego rozpowszechnienia [1]). sk.

---

[1]) Adres Redakcji i Administracji: Nowy Świat 19, w Warszawie. Cena zeszytu 3 zł., przedpłata za 10 zeszytów 27 zł.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W dniu 30 stycznia odbyło się zebranie Polskiej Akademii Literatury poświęcone wyborom laureata do nagrody Akademii dla młodych.

Po kilku kolejnych głosowaniach nagrodę w wysokości 2.000 złotych przyznano większością głosów Stanisławowi Piętakowi, za powieść pt. „Młodość Jasia Kunefała". Poza laureatem zgłoszono kandydatury: Jerzego Andrzejewskiego, Tadeusza Brezy, Hanny Malewskiej, Bolesława Micińskiego, Czesława Miłosza, Mariana Niżyńskiego, Teodora Parnickiego, Ksawerego Pruszyńskiego, Adolfa Rudnickiego, Henryka Worcella, Jerzego Zagórskiego.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Arkady Fiedler. „Zdobywamy Amazonkę". Tow. Wyd. „Rój". W-wa.

Bardzo już popularny dziś autor kilku barwnie opowiedzianych wspomnień z podróży naukowych do Brazylii i Kanady, przedsiębranych z polecenia Muzeum przyrodniczego w Poznaniu oraz dla dostarczenia żywych okazów do ogrodu zoologicznego w Warszawie, rzucił w niniejszej książce przed oczy czytelnika sugestywną wizję uroczego kraju w dorzeczu Amazonki.

Zasadniczo znamy ten temat z książek Jules'a Verne'a oraz naszego Wł. Umińskiego i powinniśmy trafnie orientować się w scenerii towarzyszącej krew mrożącym dramatom z życia osadników puszczańskich, uczonych naturalistów i eksploratorów, walczących z dzikimi, używającymi zatrutych *curarą* pocisków, Indianami. Może zbyt jednak zaufaliśmy tamtym, z lat młodzieńczych pisarzom. Oto opowieść autora „Ryby śpiewają w Ukajali" przynosi już na pierwszych kartach nowe, rewelacyjne szczegóły, dziwną wieść o zatopionym na brzegach rzek lesie, o mieniących się, filigranowych a wesołych i zawadiackich kolibrach, o mrocznych, niesamowicie pięknych motylach „morfo", o lianach, w których zdradzieckich uściskach próchnieją drzewa-olbrzymy.

Dowiadujemy się ze zdumieniem mieszkańca ubogich w kwiaty okolic, że oprócz „kwiatków" i „ziółek" są też na Bożym świecie szkarłatne i złote orchidee, zdolne opanowanych Anglików wytrącić z ich wspaniałej równowagi i wprawić w szał gorączkowych poszukiwań i wielce kosztownych hazardów.

Najobfitszy w wody system rzeczny na kontynencie w najgorętszem miejscu globu, bo na równiku — oto krótkie ustalenie warunków geograficznych, na jakich się zasadza przedpotopowa poprostu bujność i prężność sił przyrody w kraju nad Amazonką. Las na każdym nieomal kroku stawiający przed natrętnym intruzem nieprzebyte przeszkody i cały system niebezpieczeństw: trucizn i drapieżców, — ale i pełen niespotykanego, dziewiczego czaru, — i rzeka, raj dla kajmanów: oto zapory na drodze do serca dziwnej krainy, zachęta zarazem dla śmiałego podróżnika.

Tekst urozmaicił autor doskonałymi zdjęciami ze swej włóczęgi. Za *motto* wziął zdanie, w którem pragnie mieć naśladowców wśród młodzieży, równie romantycznych jak on zdobywców.

Na pewno się nie zawiedzie. (ST. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA GROTTGEROWSKA

JESZCZE doniedawna słyszało się powiedzenia, że muzea to lamusy—przechowalnie starych grodów, cmentarzyska pamiątek przeszłości, że to dobre dla badaczy i szperaczy, dla miłośników antyków i wogóle starych pryków. Ale dla ludzi współczesnych... panie drogi, a dajże pan spokój!...

Tymczasem, dzięki racjonalnemu traktowaniu sprawy, muzeologia obejmuje coraz szersze kręgi ludzkich zainteresowań, ma ambicje twórcze, jest żywa, nie poprzestaje tylko na inwentaryzacji. Dziś muzea są czynnemi warsztatami pracy, instytucjom wystawowym, które w nazwie swej mają słowa: propaganda sztuki", wydzierają nieraz palmę pierwszeństwa, jeśli chodzi o tę propagandę i wychowanie artystyczne szerokich mas. Wstęp w cenie biletu tramwajowego lub w pewne dni zupełnie bezpłatny, katalog sprzedawany po cenie nie pokrywającej zazwyczaj kosztów własnych, oto najdalej sięgające udogodnienia dla zwiedzającej wystawy muzealne publiczności.

W niedzielę poszedłem do naszego Muzeum Narodowego, żeby obejrzeć wystawę Grottgerowską, otwartą z okazji obchodu 75-lecia Powstania Styczniowego. Myślicie, że co zobaczyłem? Nic podobnego. Tłumy takie, że nie sposób się przecisnąć. Miało się wrażenie, iż za chwilę ktoś z dyrekcji Muzeum krzyknie, jak konduktor w natłoczonym warszawskim tramwaju: „niema miejsc, niema miejsc! Proszę się nie pchać!" Nie usłyszeliśmy jednak takich wezwań, bo nikt nie chciał mrozić świętego zapału do sztuki.

W tych warunkach — rozumiecie to sami — trudno było oglądać wystawę tak, aby zdobyć wystarczający materiał do artykułu. Ograniczę się więc tym razem do paru informacyj, szczegółową relację odkładając do następnego numeru.

Wystawiono 3 obrazy olejne Grottgera, z tej liczby „Autoportret" i „Nocturno" są własnością muzeów warszawskiego i lwowskiego; trzeci, największy, znajduje się w prywatnem posiadaniu i ma być zakupiony przy pomocy ofiarności publicznej dla Muzeum Narodowego w Warszawie. Pozatem pokazano cykle rysunków kredką: „Warszawę" (7 kartonów z 1861 r.), wydaną w fotograficznych reprodukcjach w tym samym roku; „Polonię" (9 kartonów 1863 r.), w Polsce znaną dotąd tylko z reprodukcji, a pożyczoną nam na wystawę przez węgierskie Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie; nakoniec — „Wojnę", ostatni cykl Grottgerowski z lat 1866 — 1867, złożony z 11 plansz.

Katalog wystawy opracował dr. Jerzy Sienkiewicz. Uzupełnia ją pokaz historyczny druków i dokumentów powstańczych, zorganizowany przez warszawskie Towarzystwo Miłośników Historii, przy współudziale Muzeum Narodowego.

WIKTOR PODOSKI

„ŁOWCZYNI MOTYLI“[1] i OBŁASKAWIONY MRÓWKOJAD

Wśród sporej paczki ostatnio wydanych książek treści podróżniczej specjalnie wyróżniają się wspomnienia z odbytej w latach 1926 — 28 wyprawy naukowej do Brazylii, pióra zmarłej przed niedawnym czasem nad brzegami Amazonki na febrę dzielnej „Łowczyni motyli", wdowy po głośnym entomologu Juliuszu Isaaku.

Okoliczności, w jakich powstała ta prześliczna i zajmująca praca, są niecodzienne i wzruszające. Pani Isaakowa, już oddawna, za przykładem męża, zajmująca się zbieraniem owadów, po jego śmierci postanowiła kontynuować rozpoczęte dzieło, dopełniać olbrzymie zbiory, przeszło sto tysięcy owadów, które obecnie znajdują się w Muzeum Pedagogicznem w Warszawie. W tym celu ruszyła w podróż do Parany w południowej Brazylii; odbyła ją samotnie, za całe towarzystwo mając przygodnych znajomych i przyjaciół na noclegach i popasach wśród miejscowej polskiej kolonii—a za jedyną broń i amunicję... siatkę na motyle oraz słoiki z eterem. Tak uposażona zwiedziła ten dziewiczy jeszcze nieomal kraj egzotyczny, docierając do najgłębszych zakątków puszczy brazylijskiej, narażając się w namiętnej pogoni za rzadkim okazem na nieoczekiwane spotkanie, na wąskiej ścieżce wśród gęstwiny, z groźnym jaguarem lub jadowitym wężem.

Część wycieczki odbyła konno, wprędce nauczywszy się jazdy wierzchem. Wprowadziło to dużo urozmaicenia i dało wiele sposobności do ciekawych notatek i spostrzeżeń pejzażowych, czynionych z wysokości siodła, — ale i naraziło autorkę na liczne niebezpieczeństwa, zwłaszcza na przypartych do skalnej ściany górskich drożynach i podczas zjazdów po kamienistych zboczach, kiedy to jeździec cały zdaje się na los szczęścia i instynkt wierzchowca, nie dozwalający zwierzęciu na fałszywe stąpnięcie ani potknięcie się.

Niezwykły hart polskiej uczonej zaimponował nawet tak wytrawnemu podróżnikowi, jak Arkady Fiedler, który w ten sposób oto się o niej wyraża:

„Niewiasta, uzbrojona w niebywałą odwagę, sama szła między obcych ludzi, przebywała wśród Indian i dzikich kabokli, wdzierała się w mroczną puszczę, tam, gdzie nawet uzbrojony mężczyzna chadzał niechętnie, i polowała gorliwie przez cały czas na najosobliwszą i najciekawszą zwierzynę, jaką stworzyła przyroda południowo-amerykańska: na owady, a głównie motyle. Zdobyła wspaniałą kolekcję: groteskowych chrząszczy, okrutnych modliszek, dziwacznych szarańczy i przecudnych motyli, niektóre o rozpiętości naszej kuropatwy—ogółem 15 tysięcy".

Książka, pisana nie przez literatkę, przynosi wiele bezpośrednich, ujmujących świeżością spostrzeżeń. Coprawda zwiedzany tak szczegółowo kraj, jeden z najpierwotniejszych i najbogatszych, był w stanie zapłodnić każdą wyobraźnię, dostarczyć barw i kształtów, zdolnych natchnąć niejednego artystę.

Brazylia to przytem podobno kraj owadzi, gdzie jak pisze autorka powszechnie np. używa się ozdób: naszyjników, bransoletek, brosz i szpilek, złocistych i mieniących się barwami tęczy, w całości wykonanych z błyszczących chrząszczy podzwrotnikowych i ślicznych pluskwiaków o efektownych pokrywach skrzydełek.

Z barwnych skrzydełek motyli tutejsi artyści wyrabiają śliczne obrazy, oszklone tace, popielniczki, przyciski, nawet teczki. Są sklepy w dużych miastach Brazylii, w których nic innego się nie sprzedaje, tylko wyroby zdobnicze z owadów. Przemysł ten Brazylijczycy traktują bardzo poważnie, jako przynoszący im szalone zyski.

Kraina w dorzeczu Amazonki bliską jest szczególnie naszemu sercu, ze względu na duży procent polskiej ludności znajdującej tam w ruchu emigracyjnym swobodny teren dla naturalnej ekspansji kolonialnej. Oraz przez szereg imion polskich podróżników, np. tej miary, co ks. Robert Wierzejski z Bielan, którego zbiory i trofea myśliwskie oraz żywego mrówkojada można było przed kilkoma laty oglądać na specjalnej wystawie, urządzonej w gimnazjum OO. Marianów pod Warszawą.

Z tym mrówkojadem ruchliwym, czarnym włochaczem, o lśniących jak paciorki ślepkach, było wiele uciechy dla wychowanków zakładu i zwiedzających gości, — choć z drugiej strony nie wiadomo, czy zamknięty w ciasnej klatce zwierzak odczuwał równą naszej satysfakcję? Inna rzecz, że dbano o niego w miarę możności i uczniowie tamtejsi prześcigali się w dostarczaniu śmiesznemu stworzeniu owadów, wyłapując dlań wszystkie muchy w promieniu mili.

Ciągle wystraszony ten mrówkojadek, tłukący się z początku ustawicznie nerwowymi ruchy po wysłanej słomą klatce, z czasem przywykł do nowych warunków, zadomowił się na Bielanach i polubił swoich panów, zwłaszcza młodzież, darzącą swego ulubieńca różnymi przysmakami. Jaki był koniec kariery dzikusa z puszcz nad Amazonką—nie jestem dziś w stanie odpowiedzieć. Należy jednak przypuszczać, że klimat tutejszy musiał go zabić—i tak, zdaje się, było.

Dobrze jest wśród motyli lub ptaków, czy choćby pospolitych czworonogów zapomnieć na chwilę o ludziach, ażeby po okresie zniechęcenia i leczenia wyobraźni pogonią za barwną parą skrzydełek, zatęsknić znów za podobnymi sobie, ulepionymi z tegoż samego mułu ziemi, stworzeniami.

ST. J.

[1]) Michalina Isaakowa. „Polka w puszczach Parany". Księg. św. Wojciecha. Str. 232.

NA MARGINESIE

— To ciekawe! Czytałeś, o co pytał poseł Tomaszkiewicz ministra przemysłu i handlu: Czy prawdą jest, że Polska zapłaciła Włochom 20 milionów zł. za licencję wyrobu wełny z mleka?

— Dziwi cię, że Polskę stać na wydatek 20 milionów?

— Nie, przecież wiem, że jesteśmy bogaci, tylko mnie dziwi, że z mleka można robić wełnę, a powtóre, że wyrzekamy się hodowli owiec.

— To prawda, że nie mamy nadmiaru mleka, ale jesteśmy podobno blizcy wynalazku wyrabiania mleka z wełny...

*

— Skoro pan zbiera ciekawostki sejmowe, to panu przeczytam, co powiedział poseł Ostafin z powodu mowy posła Mincberga:

„Wspomnę jeszcze, że członkowie żydowskiej Centralnej Kasy Pożyczkowej, która przecież należy do międzynarodówki żydowskiej, korzystają z 80-procentowej zniżki na kolejach, tak jak kawalerowie *Virtuti Militari*. My takich przywilejów nie mamy i proszę pana Premiera nie o przywileje dla nas, lecz tylko o równouprawnienie".

*

— Powiem panu krótko węzłowato: Stosunki są pod psem, tak się popsuły, jakby je kto zelektryfikował...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.